Nr. 170. Lwów. — Piątek dnia 26 lipca Rok 1889.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.
Cena prenumeraty:
We Lwowie bez dostawy: Miesięcznie zł. 75 ct. Kwartalnie 2 „ 25 „ Półrocznie 4 „ 50 „ Rocznie 9 „ — „ Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.
Na prowincji z przesyłką pocztową: Miesięcznie 1 zł Kwartalnie 3 „ Półrocznie 6 „ Rocznie 12 „
Numer kosztuje 4 centy.

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU" we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej L. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.
Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.
Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują: Trafika przy ulicy Czarnieckiego liczba 2. — Trafika przy ulicy Karola Ludwika liczba 5. — Trafika przy ul. Ossolińskich (obok Łazienek Diany). — Biuro Dzienników, przy ul. Karola Ludwika liczba 9.
Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Anny matki NMP. Jutro: Natalji p. męcz. | Adres Redakcji i Administracji: ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 4 m. 32, Zachód „ 7 „ 36 | Długość dnia g. 15 m. 4, Ubyło dnia 2 min.

Upraszamy o wczesne odnowienie prenumeraty.

Przegląd polityczny.

Lwów 25 lipca.

Z relacji dzienników francuskich, jakoteż z listów osób prywatnych bawiących teraz w Paryżu, a mających stosunki w społeczeństwie francuskiem, okazuje się, że akt oskarżenia, wymierzony w Boulangera jako zabójczy strzał armatni, nie sprawił wcale takiego wrażenia, jakiego się spodziewał rząd francuski. Oczywiście tłum ludzi mających zawsze tylko to zdanie, które na ostatku przeczytają czy to w książce czy w gazecie, powtarza za prokuratorem, że jenerał to oszust i przeniewierca; ale ten tłum będzie miał jutro inne zdanie, a pojutrze jeszcze inne, dzisiaj może wskazywać palcami Boulangera jako człowieka, który sprzeniewierzył pieniądze publiczne, a za parę tygodni może mu bramy tryumfalne budować. To też na ten tłum nikt nie zwraca uwagi i jego o zdanie nie pyta, gdyż każdy wie, że on swego zdania nie ma, tylko je codzień pożycza z ulicy, z trotuaru, z gazety, z kawiarni, skądkolwiek, byle na 24 godzin mieć w portmonetce mózgu jakieś zdanie o sprawach, stojących na porządku dziennym.

Inna jednak rzecz ze zdaniem ludzi poważnych. Jest ono samodzielne, oparte na jakiemś wnioskowaniu, mniej lub więcej rozsądnem i logicznem, przeto uzasadnione, a w skutek tego bierze zawsze w końcu górę i stanowi to co nazywamy opinją poważnego ogółu.

Owóż ci ludzie nie wynieśli dobrego wrażenia po przeczytaniu aktu oskarżenia. Jest on — powiadają oni — przedewszystkiem lichego gatunku artykułem dziennikarskim. Oskarża Boulangera o dwie rzeczy, o zamiar wywołania przewrotu za pomocą zamachu stanu, i o nadużycia pieniężne. Pierwszego jednak nie udowadnia, a z drugim wybrał się z niece za późno. Jeżeli bowiem prawdą jest, że jenerał Boulanger, będąc ministrem wojny, cały fundusz dyspozycyjny i oszczędności z tego funduszu przez wszystkich jego poprzedników skrzętnie powoli uzbierane na propagandę osobistą roztrwonił — to czemuż następca jego niezwłocznie po przekonaniu się o tem roztrwonieniu ankiety nie zarządził i zamiast jenerała pod sąd wojenny lub honorowy oddać, dowództwo mu nad korpusem powierzył? Oskarża jeszcze prokurator jeneralny p. Boulangera, że będąc naczelnikiem oddziału w Tunetanji wdawał się tam w szachrajstwa z dostawcami. Któż jest łotrem, okrada jako jenerał armję, bierze od dostawców łapówki i za to robią go ministrem wojny, obsypują orderami i wynoszą do najwyższych godności? Cóż ten rząd wiedział, że p. Boulanger brał łapówki. A jeżeli wiedział, z jakiemże czołem mógł go zrobić ministrem?

Więc chyba przyjść wypada do takiej alternatywy: że rząd republikański nie wiedział oddawna, iż Boulanger jest oszustem, lub że sam nie wiedział i po tem go awansował w rangach, robił ministrem, obdarzał orderami, trzymając się zasady, iż ręka rękę myje; albo rząd republikański nie wiedział, kto jest Boulanger i co to za lala, a dopiero teraz, gdy mu on stał się niebezpiecznym, począł szperać, szukać, dociekać i znalazł to, co nic nieskończony.

W pierwszym wypadku rząd ten wart tyle co Boulanger, w drugim nie zasługuje on wogóle na zaufanie i dla kraju może stać się klęską, bo, jak się okazuje, powierza lekkomyślnie tak ważne posady jak np. ministra wojny ludziom, których charakteru i wartości moralnej nie zadał nawet sobie trudu zbadać. Gdyż gdzie gwarancja, że człowiek, który brał setki i tysiączki od dostawców jako jenerał, nie wziąłby jako minister kroci i miljonów od Bismarka za zdradzenie ważnych tajemnic wojskowych?

Nie ma więc co się dziwić, że poważni patrjoci francuscy — nie z tych ulicznych i hałaśliwych — przeczytawszy akt oskarżenia, oświadczyli, że nie było jeszcze dokumentu, któryby bardziej od tego aktu kompromitował republikę przed Europą.

Francja, od czasu wprowadzenia rzeczypospolitej, nie była uważaną w Europie za zdolną do aljansów, ale dzisiaj po ogłoszeniu tego aktu, zostanie jakby wystawioną za nawias, bo któż z nią zechce się łączyć, jeżeli takie wchodzić w stosunki, skoro jutro inni jej ministrowie mogą ogłosić światu, że dzisiejsi powinni byli nie siedzieć na fotelach ministerjalnych, ale właściwie w kryminale, gdyż ten co z nich popełnił oszustwo, inny złodziejstwo, a inny może jeszcze morderstwo. To też — dodają ludzie poważni i patrjotyczni — gdyby nawet prawdą było to wszystko, co powiada akt oskarżenia, to gabinet, jeżeliby się kierował honorem Francji, a nie nienawiścią partyjną, nie powinien był tego ogłaszać, lecz zataić jak najskrzętniej i po cichu, w domu, wyprać brudną bieliznę.

Ale na tem nie koniec. Bo oto mówią ludzie w Paryżu i to zupełnie głośno i otwarcie, że wszystko to, co akt oskarżenia zawiera o nadużyciach pieniężnych Boulangera jest prostem oszczerstwem. Okazuje się bowiem, że wiadomość o tych nadużyciach otrzymał minister Constans od niejakiego Bureta, który był naprzód szpiclem, potem popełnił jakieś fałszerstwo i skazany został przez sąd przysięgłych na kilka lat kryminału. Otóż ów Buret będąc w kryminale i wiedząc, że rząd pragnie Boulangera zgnębić wpadł p. Buret na pomysł napisania listu do ministra Constansa, w którym mu ofiarował się dostarczyć listy kompromitujące Boulangera pod warunkiem, że rząd go wtedy uwolni i da mu 15.000 franków. Constans przystał na tę propozycję i wszedł z Buretem w rokowania. Minister prowadzący rokowania z fałszerzem siedzącym w kryminale! Co za przepyszny motyw do operetki! Dość, że Buret dostarczył żądanych listów i wyszedł z kryminału z kwotą 15 000 fr. w kieszeni.

Kiedy to ogłosiły dzienniki bulanżystowskie a oburzenie zapanowało w Paryżu, wówczas minister Constans uznał za właściwe zamieścić sprostowanie w swoim organie *Le Soir*. I cóż się dowiedziała publiczność z tego sprostowania? Oto, że p. Buret nie dostarczył owych listów wprost, ale odegrano komedję i urządzono u niego rewizję, podczas której znaleziono te listy w jego kufrze; nadto, że mu nie dano 15.000 fr. ale tylko 7 000 fr.

Listy te kompromitują w istocie Boulangera w wysokim stopniu, ale wszystkie bulanżystowskie organa twierdzą zgodnie, że podpisy jenerała są na tych listach pofałszowane. I twierdzenie to znajduje tem większą wiarę, że właśnie ów Buret siedział w więzieniu za sfałszowanie podpisu kilku kupców na wekslach. Zdaje się tedy, że fałszowanie podpisów jest specjalnością p. Bureta, poufnego ministra Constansa. Jakaż z tego wszystkiego konkluzja? Oto ta, że rząd wypowiedział Boulangerowi wojnę na śmierć i życie, wojnę, w której podepcze honor Francji i skompromituje ją i siebie, byle przeciwnika zgnębić. Pierwszą bitwę w tej wojnie, bitwę zwaną aktem oskarżenia, przegrał. Drugą będą wybory do rad departamentowych, trzecią wyrok. Jeżeli przegra te obie, lub jeżeli wygra tylko ostatnią i to w sposób taki, że ludzie powiedzą, iż to nie był wyrok sprawiedliwej Temidy, mającej zawiązane przepaską oczy, ale wyrok przeciwników, mających oczy nabiegłe krwią namiętności politycznej, to nie minie roku, a Boulanger wjedzie do Paryża jako tryumfator, czy to jako pierwszy konsul, jak niegdyś Napoleon I, czy to jako dyktator.

Fatalna pomyłka drukarska, która łatwo mogła była stać się przyczyną nieporozumienia między dyplomacją Włoch i Francji, wkradła się w raport rzymskiej policji w sprawie rozwiązania „Komitetu dla Tryjestu i Trydentu". Oto depesze telegraficzne podały, iż w raporcie tym znajdował się ustęp „że aljans z Niemcami i Austrją daje rękojmię jedności i niezawisłości Włoch w obec chytrej nacji (narodu) i jawnych i skrytych nieprzyjaciół Włoch". Wyraz ten „chytra nacja" odnoszono powszechnie do Francji i uważano to za objaw wielkiego naprężenia stosunków między Włochami i Francją, iż rząd włoski publicznie i w tak niedwuznaczny sposób obraża naród francuski. Okazało się jednak, że w tym wypadku zawiniło rzymskie biuro telegraficzne, które zmieniając słowo „akcja" w „nacja" i dodając z własnej woli spójnik „i",— przez to cały sens depeszy zmieniło i dyplomację europejską zaniepokoiło.

Autentyczny tekst ustępu, o który się rozchodzi, brzmi bowiem jak następuje: „aljans z Niemcami i Austrją daje rękojmię jedności i niezawisłości Włoch w obec chytrej akcji jawnych i skrytych nieprzyjaciół Włoch".

Najwyższa potęga finansowa.

Gwiazdy amerykańskich Gouldów błyszczą i gasną, bo Gouldy to szaleńcy hazardu giełdowego; ale firma Rotszylda, najwyższa firma finansowa w Europie, urągała dotąd wszystkim burzom, oparta o zaufanie monarchów i podziwienie narodów.

I dziś ta potęga stoi niewątpliwie jak obelisk granitowy wśród karcianych domów chwili; tylko, że zaczyna się chwiać wielka reputacja moralna firmy na dwóch krańcach Europy, na Kaukazie, gdzie Rotszyld lichą wyrabia naftę i we Francji, gdzie Rotszyld stał na czele spekulacji miedzianej.

Swojego czasu w francuskiej izbie poselskiej Milleraud zapytał rząd, dla czego z taką hiszpańską galanterją obchodzi się z winowajcami krachu miedzianego? Mniejsza o to, że zapytał Milleraud, członek stronnictwa nieprzejednanych; ale to, że mowa jego na wszystkich ławach, bez różnicy barwy, ogromny zyskała poklask, ma już znaczenie znamienne.

Przekonywująco udowadniał Milleraud niemoc rządu w obec grupy, której duszą był Rotszyld.

Comptoir d'Escompte według statutu miał prawo tylko do zawierania interesów z terminem najwyżej 90-dniowym; tymczasem *in puncto* miedzi wiązał się na kilka lat i to nawet na towary, które jeszcze nie istniały. Dalej *Comptoir* w żadnym interesie nie śmiał angażować więcej, niż połowę kapitału; tymczasem w spekulacji miedzianej utonął cały jego fundusz. A zatem prezydenci i administratorowie banku oszukali akcjonarjuszów, przetrwonili ich pieniądze w sposób statutem zabroniony. Sąd natomiast wkroczył dopiero w dwa miesiące po upadku banku. Rewizje przedsięwzięto tylko u trzech z dwudziestu członków rady nadzorczej, a wszyscy mieli dość czasu do sprzątnięcia swoich majątków. Jeden sprzedał swoją galerję obrazów, drugi dobra miljonowe, trzeci dobra przemycił pod obce nazwisko. Prezydent rady nadzorczej, odpowiedzialny za 100 miljonów, został puszczony na wolną stopę za kaucją w wysokości 300.000 fr.

„Konieczna jest potrzeba", — wołał mówca — „ażeby rząd republikański przekonał słusznie oburzoną opinję, iż nie ma nietykalnych wielkości finansowych. Niech się nie rozżarzewia wiara, że we Francji po zniesieniu starych przywilejów, powstały nowe. Jeżeli wielkości finansowe uczestniczą w operacjach oszukańczych, w takim razie niech i na ich głowy spada odpowiedzialność".

Tymczasem rząd republikański nic nie zrobił i nietylko nic nie zrobił, ale swą powagą zasłonił Rotszylda i jego kompanjonów od wszelkich pocisków, albowiem we Francji „po zniesieniu starych przywilejów" powstały właśnie „nowe" z tą tylko różnicą, że gdy dawniej uchylano czoła przed potomkami ludzi, którzy wielkiemi czynami wsławili się w ojczyźnie lub dokonali dzieł wielkich, patrjotycznych, to dzisiaj ministrowie republikańskiego rządu wysiadują w przedpokojach Rotszylda lub pierwszego lepszego żyda, wzbogaconego na grze giełdowej.

Więc też rząd republikański nic nie zrobił Rotszyldowi. Sprawę zatuszowano, a dzienniki otrzymały łapówki, aby więcej nie pisały o krachu miedzianym. To też pomimo, że już pół roku minęło od tego krachu, ani winnych nie wyśledzono, ani sprawy nie wyjaśniono, ani nikogo nie ukarano. Publiczność zaś, wśród tysiąca innych wypadków, zapomniała już może nawet że był kiedyś ten krach.

Tymczasem po tym miedzianym krachu nie zasypiał Rotszyld gruszek w popiele. Nastąpiła zaraz potem spekulacja w cukrze i cena jego znacznie naprzód podskoczyła, a potem spadła w Paryżu. Kiedy cena cukru rosła, mnóstwo małych kupców rzuciło się robić zapasy. Kiedy potem nagle spadła, 2700 małych sklepów musiało ogłosić krydę, a ich właściciele poszli z torbami.

Wszystkie te klęski rozdrażniły ludność stolicy. Dom Rotszyldów, który dotąd był jakimś bożyszczem, poczęto obrzucać błotem nienawiści i pogardy.

Zachwiała się jeszcze bardziej aureola towarzyska sławnego domu. Oto, co czytamy w pewnej korespondencji paryskiej:

„Pierwej gonitwa za zaproszeniami do Rotszyldów była tak wielką, że mogli stać się bardzo wybrednymi w wyborze gości. Orleani bywali u nich na ucztach. Teraz to wszystko zmieniło się do niepoznania. W jockey-klubie, który jest najwykwintniejszem towarzystwem w stolicy nadsekwańskiej, uknuto sprzysiężenie przeciw mocarzowi giełdy. Br. Adolf Rotszyld należy wprawdzie do klubu, ale syna jego nie chcą członkowie przyjąć. Aby ich lepiej usposobić, zaprosił ojciec niedawno wszystkich członków klubu do siebie. Jawiło się ich wcale nie wielu".

O ostatnim zaś balu u br. Gustawa Rotszylda, pisma takiego autoramentu jak *Figaro* i *Gaulois*, podały wprawdzie sążniste sprawozdania, ale antisemicki *Siécle* listę gości, którzy błyszczeli na salonach króla miedzi, cukru i nafty, uzupełnił następującą uwagą:

„Byłaby ta lista jeszcze dłuższą, gdyby Rotszyld był pozapraszał wszystkie ofiary krachu miedzianego, którego stał się winowajcą".

I czy nie ma to wszystko znaczenia znamiennego?

Być może, że ma, ale my w to nie bardzo wierzymy. W społeczeństwie, które wyzuło się z religji — może, a także i musi być tylko żyd panem.

Z Izby sądowej.

(Zajście podczas procesji)

Wieden 23 lipca.

Siedmnastoletni uczeń gimnazjalny Eugenjusz Dreher, syn właściciela browaru i znanego miljonera Antoniego Drehera, stawał dziś przed sądem, oskarżony o występek przeciw publicznemu spokojowi i porządkowi (§. 303 u. k.), tudzież przekroczenie przeciw bezpieczeństwu ciała (§. 427). Rozprawa odbyła się pod przewodnictwem radzcy sądu krajowego p. Pia, oskarżenie wnosił zastępca prokuratora p Cischini, obrońcą był adwokat dr. Frank.

Akt oskarżenia opisuje zajście jak następuje:

W dniu 25 kwietnia b. r. jako w uroczystość św. Marka, szła procesja gościńcem z Kaiser Ebersdorf do Schwechatu. W chwili, gdy procesja ta w boczną drogę skręcała, nadjechał Eugeniusz Dreher z swoim wózkiem na dwóch kołach i nie zatrzymując się wcale, przejechał przez procesję silnym kłusem. To nieprzyzwoite zachowanie się oskarżonego w obec katolickiego obrzędu religijnego, wywołało wśród uczestników procesji wielkie zgorszenie i we wsi Kaiser Eberndorf przez długi czas po tem jeszcze na to sarkano, że młody Dreher zamiast stanąć przed procesją i uchylić kapelusza, jakby na urągowisko z nakrytą głową wyciągniętym kłusem pośród zgromadzonych przejechał. Stopień wykształcenia, na jakim stoi oskarżony, dowodzi, że świadom on był w całej pełni, jak karygodnym był jego postępek, przez który dał dowód wielkiego prostactwa. Pominąwszy to nieuszanowanie obrzędu religijnego, zawinił oskarżony także tem, iż jadąc w szybkim tempie przez środek dziatwy szkolnej, mógł łatwo które z dzieci przejechać.

Oskarżony Eugeniusz Dreher tłomaczył się tem, że jest uczniem gimnazjum Szkotów w Wiedniu, mieszka zaś w Schwechacie, o 1½ mili od Wiednia oddalonym. Ażeby więc być na ¾ na 8 rano w szkole, wyjeżdża zawsze z domu dwukołowym wózkiem o godzinie ¾ na 7.

W dniu 25 kwietnia jechał więc do szkoły, jak zwykle i tym razem powoził sam i spotkał na drodze grono dziatwy szkolnej, a nie wiedząc wcale, że to jest procesja, przejechał środkiem, gdyż dzieci same mu się ustąpiły i zostawiły wolne miejsce do przejazdu.

Dodał jeszcze oskarżony, że w odległości może 1½ sążnia od dzieci zatrzymał konia i dopiero gdy było wolne miejsce, przejechał kłusem.

Kilka dziewcząt, które wówczas znajdowały się w procesji, zeznało, że oskarżony nie zatrzymywał wcale konia i nie wołał nawet, aby mu się ustąpiono, lecz w szybkiem tempie przejechał, w skutek czego dziewczęta rozbiegły się na wszystkie strony i bardzo się przestraszyły.

Kapitan bar. Walter Wildburg i porucznik Nossek, którzy byli świadkami tego zajścia, zeznali, że Dreher zatrzymał rzeczywiście konia, lecz zaraz potem przejechał i nie wołał, aby mu się ustąpiono, przez co dzieci przestraszyły się i rozbiegły. Postępek ten wywołał u obu zgorszenie, a bar. Wildburg głośno nawet zawołał: „To jest bezczelność ze strony takiego smarkacza".

Szło teraz o skonstatowanie, czy Dreher wiedział rzeczywiście, że to jest procesja.

Świadkowie powołani na tę okoliczność dali wymijające odpowiedzi, całkiem sprzeczne z zeznaniami w śledztwie poczynionemi i orzekli, że może być, iż oskarżony nie wiedział, że to procesja, gdyż księża, krzyże i chorągwie znajdowały się na czele pochodu, Dreher zaś przejechał przez ostatnie pary dziewcząt.

Odczytano w końcu świadectwo Dyrekcji gimnazjum i Zwierzchności gminnej w Szwechacie, Dyrekcja gimnazjum orzekła, że zachowanie się Drehera jest wzorowem. Zwierzchność gminna Szwechatu zaś, jako jego miejsca zamieszkania orzekła, że młody Dreher prowadzi się chwalebnie, jest bardzo religijnym i nabożnym i bierze zawsze udział w procesji wielkanocnej i w dzień Bożego Ciała.

Trybunał wydał wyrok, którem uwolnił oskarżonego od oskarżenia o występek z § 303 (naruszenie spokoju i porządku) zasądził go zaś za przekroczenie z § 427 t j. za szybką i nieostrożną jazdę na grzywnę w kwocie 50 zł., ewentualnie 10 dni aresztu.

W ciągu rozprawy dał przewodniczący młodemu oskarżonemu nauczkę, mówiąc mu, że powinien być bardzo ostrożnym i dawać dobry przykład, oczy wszystkich bowiem są na niego zwrócone jako na syna tak bogatego człowieka, a takich opinja publiczna surowiej sądzi, aniżeli biedaka.

Prokurator nie zgłosił odwołania, obrońca zaś zastrzegł sobie trzy dni czasu do namysłu.

Mały Fejleton.

O Kaszubach.

Ktokolwiek z naszych rodaków zwiedzał Gdańsk — który nietylko zewnętrznie przypomina różne miasta hanzeatyckie, lecz istotnie do Hanzy należał i nawet w owych wiekach, gdy rządy polskie opierały się o jego mury, zawsze był miastem niemieckiem — musi być zdziwiony, posłyszawszy na t. zw. „Długim rynku" (Langenmarkt), wpośród zebranych tłumów, szczególniej w dnie targowe, coś jakby dźwięk mowy rodzinnej. Dopiero wsłuchawszy się uważniej, snadno spostrzeże, że aczkolwiek wyrazy są czysto polskie, całość jednak brzmi, jakby język obcy, a tylko polskiemu pokrewny.

To właśnie Kaszubi. Każdy z nich uraduje się bardzo, gdy doń w swoim języku przemówisz, sam zaś będzie się domyślał, „że od Warszawy chyba przybywasz, gdy tak pięknie mówisz". A na dalsze zapytania ludzie owi chętnie objaśnią, że przybyli do miasta albo z gór, które się ciągną po zachodnio-północnej stronie Gdańska,

---

117)

W walce z losem.

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH.

Przez

Jerzego Myriela.

(Ciąg dalszy.)

Skalski nie oponował więcej tem bardziej, że żadnych innych symptomów nie było, a chora przychodziła do siebie.

Nawet na twarzy jej ukazały się rumieńce.

Mogła już o swych siłach chodzić po pokoju: powtarzała role i w ogóle ujawniała gorączkową ruchliwość i energję.

W pismach brukowych pojawiły się artykuliki takiej mniej więcej treści:

„Z przyjemnością donieść możemy czytelnikom, że znakomita nasza artystka, panna Irma Galińska, szybko przychodzi do zdrowia.

„Sympatyczne jej nazwisko figurować już będzie w przyszłotygodniowym repertuarze.

„Panna Irma odtworzy nam swoję najznakomitszą kreację Adrjannę Lecouvrére. Sztuka niewątpliwie ściągnie do teatru tłumy.

„Publiczność pospieszy, aby zobaczyć dawno już niewidziane arcydzieło i powitać artystkę, którą umiejętność lekarska wyprowadziła z groźnej i ciężkiej choroby.

„Mówią coś — w sferach stałych gości teatralnych — o wielkiej owacji, jaką zamierza wyprawić pannie Galińskiej grono zwolenników i wielbicieli jej talentu, ale dyskrecja nie pozwala nam ujawniać bliższych szczegółów projektu.

„Kto będzie na przedstawieniu — zobaczy. „A któż nie będzie?!!"

Pan Józef przeczytawszy ten artykulik, uznał za stosowne pójść do siostry i powinszować jej wyzdrowienia.

— Ach! takie nieszczęście! — zawołał wchodząc. — Wyobraź sobie, kochana siostrzyczko, że w chwili kiedy byłaś najbardziej chora, musiałem wyjechać za granicę...

— Cóż ci tak nagłego wypadło?

— Interes, moja najdroższa, bardzo ważny interes, mogący mieć wpływ na całą moję przyszłość, na mój los. A rozumiesz to przecież moja Iziu, że nietylko o mnie chodzi— bo jeżeli mnie będzie dobrze, to i nam wszystkim także.

— Dokądże jeździłeś?

— Do Hamburga... ale mniejsza o to. Przedewszystkiem jak twoje zdrowie?

— Jak widzisz.

— Wyglądasz ślicznie, jak zawsze, trochę tylko pomizerniałaś, ale można mieć nadzieję, że za tydzień, dwa, zupełnie przyjdziesz do siebie.

— I ja tak myślę.

— Moja siostrzyczko!..,

— Podobno miałam zapalenie mózgu — tak przynajmniej utrzymują doktorzy. Takie choroby albo zabijają od razu, albo przechodzą prędko, bez śladu.

— Na szczęście jesteś uratowana, cierpienie twoje bez śladu przeszło.

Tak... i teraz trzeba się wziąć do pracy na nowo i nie chorować, bo któżby czuwał nademną, gdyby tobie nowa podróż do Hamburga wypadła.

Pan Józef tłumaczyć się zaczął.

— Daję ci słowo — rzekł, — że jeździłem do Hamburga w interesie bardzo poważnym.

— Czy tak? no, proszę.

— Wierzaj mi. Zawiązałem stosunki z wielkiemi domami handlowemi i będę sprowadzał cygara *en gros* w wysokich gatunkach. Naturalnie przynosić mi to będzie pewną prowizję — a przy moich stosunkach, przy znajomościach w sferze ludzi zamożnych, mogę rachować na zbyt bardzo znaczny. Rozumie się samo przez się, że o ile się ten interes rozwinie i będzie procentował, o tyle i dla was będzie lepiej.

— Życzę ci powodzenia, — rzekła z ironicznym uśmiechem Iza, która wiedziała już co trzymać o operacjach handlowych pana Józefa, a przekonanie, że nawet w chorobie tak ciężkiej umiał ją opuścić z lekkiem sercem, rozwiało w jej sercu ostatnie względem czułego braciszka złudzenie.

Pan Józef instynktownie przeczuwał, że traci kredyt u siostry. Usiłował jeszcze naprawić sytuację, ale Iza szydziła z niego bez miłosierdzia. Widząc, że źle, pożegnał się z siostrą i wyszedł.

Upłynęło dni kilka.

Skalski, który jak domyśleć się łatwo, bywał codziennym gościem Izy, właśnie powrócił z teatru.

— No i z czem pan przychodzisz? — zapytała artystka.

— Życzenie pani spełnione—odrzekł, afisz już w drukarni, dzisiejsze pisma zapowiedzą, że wystąpisz.

— Ach, jak to dobrze, jak dobrze! — zawołała prawie z dziecinną radością — więc jutro, jutro nareszcie powrócę na scenę!

— Niestety — tak.

— Dla czegóż to niestety.

— Zawcześnie, daję słowo, zawcześnie—i jeżeli moja rada coś znaczy, to namyśl się pani... jeszcze czas, jeszcze można się cofnąć.

— Za nic na świecie!

— Tak silną się czujesz?

— Jak Samson.

— I nic a nic pani nie dolega?

— Właściwie nic. Mam wprawdzie lekki ból gardła, ale ktoby na takie bagatelki zważał. — Ileż razy grałam przeziębiona, zwłaszcza dawniej.

— A jednak...

— Eh! nie nudź pan, nie bądź krukiem złowieszczym! Przekonam, że jesteś pan w błędzie. Zobaczysz. Będę taką „Adrjanną" jaką jeszcze nigdy nie byłam. Powtarzałam rolę, chociaż ją umiem jak pacierz. Dźwięk mego własnego głosu sprawiał mi przyjemność, kostjumy mam gotowe, nic nie braknie. Jak pan sądzisz, czy też publiczność życzliwie mnie przyjmie?

— Co za pytanie dziwne! Kiedyż było inaczej? Kwiatami panią zasypią, oklaskom końca nie będzie. Czyż pani nie znasz swojej publiczności?

— Znam, i dla tego boję się jej.

Skalski się rozśmiał.

— Gdybym był tak pewny pani zdrowia, jak jestem pewny entuzjastycznego przyjęcia, byłbym najszczęśliwszy z ludzi.

— Jakież to szczęście, żeś pan nie lekarz.

— Dla czego?

— Bo odebrałbyś mi do reszty tę otuchę, jakiej mi dodaje poczciwy, nieoszacowany Bromirski. To mi doktor! Zachęca do życia, zawsze pełen nadziei, którą potrafi natchnąć i pacjenta.. ale pan! Nie zajmuj się medycyną, nie do twarzy ci z tem.

Pomimo zapewnienia o swoich siłach, w dniu przedstawienia Iza nie czuła się zupełnie dobrze. Składała to na karb rozdrażnienia nerwowego i niepokoju, jakiego doznawała zawsze przed każdem wystąpieniem.

Obiadu, pomimo usilnych próśb i namawiań Skalskiego, prawie nie tknęła — i z niepokojem spoglądała ciągle na wskazówki zegara.

Mało co mówiła, nie była w stanie myśleć o czem innem, oprócz o wystąpieniu dzisiejszem.

Wreszcie uderzyła godzina szósta.

Na ulicach płonął już gaz, miasto wrzało ożywionym ruchem wieczornym.

Otulona w futro, Iza zeszła po schodach do karety oczekującej przed bramą i po krótkiej chwili znalazła się na korytarzu teatralnym.

Towarzyszyła jej Rózia.

Ze wzruszeniem artystka weszła do swojej garderoby—wzruszenie to podzielała i Rózia, gdyż zdejmując z pani swej futro, rzekła:

— Nareszcie, proszę pani, jesteśmy tutaj... tutaj jak w domu u siebie.

— Masz rację Róziu — odpowiedziała Iza z uśmiechem—to jest mój dom, którego nie powinnam nigdy opuszczać.

Iza rozejrzała się po garderobie.

Był to ten sam, dobrze jej znany pokoik, maleńki jak celka mnicha, mający zaledwie trzy metry w kwadrat. Przy ścianie stał ten sam stolik, mały, zdaje się trochę kulawy, nad nim zawieszone lustro, z jednej i z drugiej strony dwa świeczniki gazowe, ruchome, które w miarę potrzeby można zbliżać ku stolikowi lub oddalać.

(C. d. n.)

albo jako „rebocy" (rybacy) z półwyspu Helu, lub wreszcie z Puckiej zatoki do Gdańska przypłynęli. W ogóle, jak dla Wiednia dostawcami wszystkich jarzyn są Słowacy, tak dostawcami drobiu, a w znacznej części i ryb na targ gdański są Kaszubi. Gdy się też w mieście spotyka rybaka, roznoszącego w „karzynach" (koszach) ryby po domach, albo za miastem gromadkę ludzi pędzących „Karno guł" (stado indyków), można śmiało do nich po polsku przemówić, bo oni sami nazwią się „Kaszebami".

Zkąd się wzięła ta nazwa, na to rozmaite dotychczas dawano odpowiedzi. Kronikarz Bogufał w swojej *Cronicon Poloniae* nazwę Kaszubów wywodzi od fałdowanych sukien („huba" = fałda, stąd: „karz-hubi"); Linde za Naruszewiczem powtarza, że z nazwiska Kizynów, narodu Lutyków i z niemieckiego Hube (Hufe—włoka) mogło urość nazwisko Kiszubów, czyli Kaszubów; Szafarzyk przypomina, że kusa kura dotąd na Mazowszu nazywa się „Kaszubka", a wreszcie inni wywodzą tę nazwę od kożuchów, czyli „kozich szub". Najprawdopodobniej jednak nazwa pochodzi od bagnistego charakteru okolic, bo dziś jeszcze na Szląsku, dla oznaczenia miejsc bagnistych, używają wyrazu: „Kaszube". Równie zaś jak etymologia nazwy Kaszubów, nierozstrzygniętą jest dotąd kwestja języka kaszubskiego, mianowicie: czy to jest język samodzielny, czy też tylko narzecze.

Pierwszy impuls do badania języka kaszubskiego dał Rosjanin, hr. Rumiancow, który w r. 1825 leksykografowi Mrongowiuszowi, stale w Gdańsku zamieszkałemu, przysłał 200 rs. na zwiedzenie Kaszub i ułożenie słownika kaszubskiego.

Zadanie to zostało spełnione, ale Mrongowiusz niedbale się do niego zabrał i wszystkie informacje czerpał jedynie od Kaszubek na targach w Gdańsku. Los przytem płatał mu figle, bo gdy raz na targu wskazał na bociana i zapytał: co to za ptak — otrzymał odpowiedź: „ko bocan", co znaczy tyle: „Dyć, toć bocian" — i naturalnie zapisał w słowniku swoim: „bocian, po kaszubsku: „kłobocan".

Pomyłki Mrongowiusza wykrył ks. Pobłocki, autor wydanego w r. 1887 słownika kaszubskiego. Powiada on, że w pracy Mrongowiusza znalazł tylko 10 wyrazów kaszubskich i to przekręconych.

Następnie, w czwartym dziesiątku bieżącego wieku, niejaki Preis, Polak z Prus Zachodnich, otrzymał znów z Petersburga polecenie zbadania mowy Kaszubów. Wywiązał się on już z tego trochę sumienniej, bo ułożył słowniczek z 250 wyrazów i zrobił porównanie między mową Kaszubów a językiem polskim. Sprawozdanie to, przesłane przez Preisa z Berlina w r. 1840 do Petersburga, wydane zostało w języku polskim przez Lesława Łukaszewicza.

Opinie Preisa są jednak sprzeczne. W jednem miejscu powiada, że plemiona Lachów z trudnością zawsze rozumiały Słowian nadbałtyckich, że i dziś nawet Kaszubi źle rozumieją Polaków i że jeszcze w r. 1642 trzeba było dla Kaszubów tłómaczyć polski katechizm. Atoli ostatecznie wypowiada przekonanie, że djalekt kaszubski należy, jak djalekt Słowian nadbałtyckich, bezsprzecznie do języka polskiego.

W tym roku miał w Warszawie dr. Antoni Donimirski odczyt o Kaszubach i skreśliwszy wszelkie poprzednie badania, wspomniał także o pracach Hilferdinga, który wydał rozprawkę pod tytułem: „Resztki Słowian na południowym brzegu morza Baltyckiego", oraz o zdaniach Foerstemana i Baudouina de Courtenay, zabierających także głos w tej kwestji i skreślił żywą sylwetkę zapomnianego, choć niezbyt fortunnego przyjaciela Kaszubów, dr. Cenowy. Był to lekarz, a mieszkał w Bukowcu, dawniej majętności Czapskich. Będąc patrjotą kaszubskim, zapragnął wskrzesić ich język i w r. 1850 ogłosił w „Szkółce narodowej" w Chełmnie wydawnictwo, dwa pierwsze artykuły po kaszubsku. Jeden z nich miał tytuł: „Kaszebji do Poiochov".

Następnie Cenowa dużo jeszcze pisał i drukował po kaszubsku, ale tworząc własną pisownię, której nikt poza nim przyjąć nie chciał, [illegible] natrafił na silną opozycję wśród samych Kaszubów.

Cenowa sam rozsyłał i rozdawał swoje publikacje bezpłatnie, gdyż odwiedzał licznych pacjentów, których mu, jako dobremu lekarzowi, nie brakowało.

Lud kaszubski, przyzwyczajony do książki i pisowni polskiej, nie chciał ich czytać, a nawet zamożni włościanie, którzy Cenowę, jako lekarza lubili, śmiali się z jego [illegible].

Różnice między językiem polskim a kaszubskim polegają: a) na odmiennem używaniu akcentu; b) na odmiennem stosowaniu i wymawianiu samogłosek; c) w samych wyrażeniach. — Co do akcentu, to nie spoczywa on, jak w polskim języku, wyłącznie na przedostatniej sylabie, lecz chwieje się między pierwszą sylabą lub przy dłuższych wyrazach między jedną z trzech ostatnich. Nadto przy przymiotnikach, które np. jak w polskim języku, mają w pierwszym przypadku akcent na przedostatniej sylabie, akcent ten mimo przypadkowania dalszego pozostaje na oznaczonej zgłosce (np. miłosérny, miłosérnego, miłosérnemu i t. d.).

Co do wymawiania i stosowania samogłosek to w języku Kaszubów *a* pochyla się i wymawia jak długie otwarte *o*; nadto *a* zamienia się często na *e* (np. rek, reno, rena, zamiast: rak, rano, rana); dalej *ę* wymawiają Kaszubi, jak *an* we francuskiem (np. *dans*); krótkie *y* zamienia się często na krótkie *e* (np. bedło=bydło), a długie wymawia się jak *i*; wreszcie brak w ich języku spółgłosek *ć, ś, ź, dź* lub znów *g* i *k* miękną i przechodzą w *dź* i *cz* (np. dżibczy=gibki).

W r. 1887 wydał ks. Pobłocki „Słownik kaszubski" i jest to pierwsza praca, która jest istotnie w stanie poznajomić z mową Kaszubów i badania nad tym językiem znakomicie naprzód posunąć.

Wreszcie, jako pisarz w narzeczu kaszubskiem, występuje Hieronim Derdowski, autor znakomitej epopei wierszowanej p. t. „O Panu Czorlinscim, co do Pucka po sece jachoł" (O Panu Czarlińskim, który do Pucka po sieci jechał).

Dziełko to, wydane kilka lat temu, zrobiło pewną sensację w sferach literackich polskich i odkryło nam lud, który jest dzieckiem naszej wspólnej Ojczyzny, a który tłoczony przez Niemców, miał już prawie paść ofiarą ich żarłoczności. Odtąd zajęto się Kaszubami więcej, ale w każdym razie nietyle, ile potrzeba, aby ich zupełnie przyłączyć do całości polskiej.

Może ta krótka notatka nasza skieruje w ciągu nadchodzącego lata kroki niejednego z naszych turystów do ziemi kaszubskiej, która dla serca polskiego mieści w sobie więcej rzeczy pięknych, niż widoki w Alpach lub w Szwajcarji.

Kronika.

Lwów, dnia 25 lipca.

Order papieski *„Pro Ecclesia et Pontifice"* otrzymali: p. Stefan Żarski, właściciel dóbr w Bełzie, p. Michał Wołoszyński, właściciel realności w Kańczudze i p. Anna Romanowska z Sokala.

Z krajowej Rady szkolnej. Na posiedzeniu Rady szkolnej z d. 9 b. m. uchwalono wykluczyć kilku uczni gimnazjum tarnowskiego ze wszystkich szkół średnich w Galicji; postanowiono, że w dniach normalnych, w których odbywa się nabożeństwo żałobne za ces. Ferdynanda i cesarzowę Annę, nauka szkolna ma się odbywać tylko w godzinach popołudniowych; przypomniano wreszcie dyrekcjom szkół średnich, że stróżom szkolnym nie wolno utrzymywać studentów na stancji.

Dr. Aleksander Bossowski habilitował się dnia 15 bm. jako docent chirurgji na uniwersytecie jagiellońskim.

Cesarzowa Augusta katoliczką. Niektóre dzienniki niemieckie dawniej już podawały wiadomość o zamierzonem przez cesarzowę Augustę przejściu na łono Kościoła katolickiego. Wiadomości tej nie dawano jednak wiary. Mimo to wieść utrzymuje się uporczywie i przesyła już nawet do prasy zagranicznej. I tak pismo *Irish Catholic*: „Dochodząca nas z Rzymu wiadomość, że cesarzowa Augusta powróciła na łono Kościoła katolickiego nie zadziwi prawdopodobnie Europy. Jest rzeczą oddawna wiadomą, że jej pani dla Kościoła katolickiego oddawna są znane. Jednym z jej najwierniejszych i najpoufniejszych przyjaciół od lat wielu jest książę Radziwiłł, gorliwy i prawy katolik. Marszałek dworu cesarzowej hr. Nesselrode był zawsze katolikiem, wyznawcą takiej wiary, jaką ks. Radziejewski, kapelan w domu księcia Radziwiłła, oddawna stał się ulubionym gościem w pałacu cesarzowej". Tyle pismo irlandzkie; pisma niemieckie podają tę wiadomość z niedowierzaniem.

Ozdobną wazę z herbami Lwowa, ofiarował miastu naszemu p. Józef Jakób Lewicki z okazji zaślubin swej córki. Waza stanęła na plantach miejskich.

Z sfer teatralnych. Przed paru dniami w niektórych dziennikach lwowskich i krakowskich znalazła się wiadomość o jakichś niemiłych zajściach pomiędzy zarządem teatru miejskiego w Krakowie a kasjerem p. Sulmierskim, o objęciu kasy przez artystów na własny rachunek itp. Owóż dzisiaj otrzymujemy z kompetentnego źródła wyjaśnienie, że zajścia te i nieporozumienia już nie istnieją, i że w ogóle do tego nie było, jak tylko ogłoszono. Co się tyczy kasy „przez artystów" nie było wcale mowy. Wprawdzie kasjer p. Sulmierski wyjechał z Krakowa na dwa dni, lecz w zastępstwie jego prowadził kasę p. Salamon, za upoważnieniem dyrekcji, artyści zaś otrzymali gaże w czasie kontraktem zastrzeżonym. Doniesienie było tendencyjnem, w duchu nieprzyjaznym dzisiejszemu dyrektorowi p. Barączowi i żałować należy że się do dzienników dostało.

Jesienny sezon budowlany już się rozpoczął. Na każdej prawie ulicy widać wznoszące się rusztowania, albo przy rozpoczętych nowych budowlach lub przy odnawiających się domach. Snują się wozy z ziemią, piaskiem, cegłami, kręcą się robotnicy, a na placach i ulicach powstają składy materjałów, utrudniające komunikację pieszą i wozową.

I owóż to powinnoby być powodem aby właśnie teraz urząd budowniczy miejski baczniej czuwał nad porządkami na ulicach i zwracał na to uwagę, aby wznoszące się rusztowania nie tylko zabezpieczały robotników, ale nie groziły niebezpieczeństwem przechodniom. Otóż nie zawsze spełniają one tę służbę, a dość spojrzeć na rusztowania przy kamienicy l. 44 przy ul. Sykstuskiej, aby się przekonać, że tak niedbale postawione rusztowanie, może być przyczyną niejednego smutnego wypadku.

Defraudacja. Firma kupiecka D. Landaua w Podwołoczyskach otrzymała od bankiera Caro z Niemiec list z deklarowaną kwotą 2 500 rubli. Po otwarciu listu okazały się w nim tylko papiery bezwartościowe. Śledztwo w tej sprawie jest w toku.

W Stanisławowie utopił się podczas kąpieli w Bystrzycy uczeń 6 klasy gimnazjalnej H. Budzynowski.

W Truskawcu odbędzie się w nadchodzącą niedzielę zabawa wieczorna z tańcami w połączeniu z loterją fantową, pod protektoratem ks. Adamowej Sapieżyny, hr. Izabelli Rassockiej i Marji hr. Borkowskiej.

Zmarli. W Tustanowicach, w pow. drohobyckim, zmarł ks. Jan Sienkiewicz w 75 roku życia a 50 kapłaństwa.

Rozalja z Müllerów Ostapowicz, zmarła we Lwowie w 21 roku życia.

Stefan hr. Rostworowski, właściciel dóbr Garbacz w gub. radomskiej zmarł w Warszawie w 34 roku życia.

Jan Ponikiewicz, optyk i mechanik w Tarnowie, zmarł tamże w 31 roku życia.

Farkas. Gazeta temeszwarska donosi, że wdowa Telseky złożyła bardzo ważne zeznanie, a mianowicie, że w mieszkaniu jej w Szegedynie odbywały się próby ciągnienia z fałszywem „kołem" loteryjnem w obecności Farkasa. Do czego jednak te próby służyć miały, tego Telseky nie wie.

Ta sama gazeta donosi, że Farkas miał ostatecznie przyznać się zupełnie do winy i że namówił wdowę Telseky do udziału w zbrodni.

Śledztwo całe ma być w ciągu bieżącego miesiąca ukończone.

140 lat życia. Odeski korespondent *Daily News* donosi, że wychodzący w Saratowie *Dniewnik* przytoczył autentyczne dowody na to, że w Saratowie żyje niejaki Daniel Samoiłow, który urodził się w tem mieście w r. 1749, liczy zatem obecnie 140 lat życia. — Był on dawniej adjutantem feldmarszałka Pugaczewa i brał udział w szturmach na Kazań i Symbirsk, oraz w bombardowaniu Samary.

Za jakieś przewinienie wojskowe otrzymał 180 „pałek" i został zesłany na Sybir, gdzie przebył lat 38, poczem pozwolono mu wrócić do Saratowa.

Trzyma się krzepko i ma jeszcze dobrą pamięć.

Pojedynek. W Paryżu odbyło się spotkanie pomiędzy p. Kłobukowskim, francuskim konsulem jeneralnym w Yokohamie i b. szefem kancelarji jeneralnego gubernatora w Indo-Chinach, a p. Parran, b. jeneralnym rezydentem. Walczący wybrali pistolety; dwukrotna wymiana kul nie doprowadziła do żadnego wyniku. Powodem starcia były obelżywe artykuły dziennikarskie przeciw p. Parran, który o autorstwo tychże obwiniał p. Kłobukowskiego.

Tak być nie mogło. Wiedeńskie pisma żydowskie, a za niemi nasze liberalne dzienniki utrzymują, że ks. Biskup Łobos, odbywając niedawno wizytę kanoniczną w swojej dyecezji, wyszczególniał wszędzie żydów, zapewniał ich o sympatji, jaką żywi do nich duchowieństwo katolickie, a nawet w jednej wiosce na przemowę powitalną właściciela dóbr, żyda, odpowiedział mu, mówiąc o jego współwyznawcach, w te słowa: „Wy (to jest żydzi) jesteście w naszym kraju pionierami oświaty i cywilizacji". Tu następował szereg innych komplementów, a w końcu przyjął ks. Biskup zaproszenie tego żyda i udał się do niego na wieczerzę i nocleg.

Takie telegramy rozesłali żydzi do wszystkich swoich wiedeńskich, peszteńskich i berlińskich organów, a te organa wynoszą dzisiaj ks. Biskupa Łobosa i przeciwstawiają go innym książętom Kościoła lub podsuwanych mu słów, pełnych liberalnej tolerancji, czyli bezwyznaniowego lekceważenia wszystkich religij, używają do polemizowania ze znaną encykliką papieską o tolerancji.

Owóż zaprzeczyć temu wszystkiemu nie możemy, bo może to uczynić tylko ks. Biskup Łobos. Ale możemy stanowczo oświadczyć, że wszystko to jest tak nieprawdopodobne, iż absolutnie nie wierzymy ani na jotę temu, co te pisma żydowskie donoszą. Ks. Biskup Łobos mógł być w obec żydów pobłażliwym, wyrozumiałym, nawet uprzejmym, mógł zachęcać do zgody, a widząc tu i ówdzie rosnącą wśród ludu katolickiego nienawiść do żydów, mógł wpływać w swych przemówieniach na złagodzenie tej nienawiści i zapobiegać temu, aby ona nie wyrosła do czynów gwałtownych. To zrozumiałem jest i godnem Biskupa. Ale ks. Łobos nie byłby ani Polakiem, ani katolikiem, gdyby mówił, że żydzi są u nas pionierami cywilizacji i oświaty: katolikiem, bo czyż może umysł i serce katolickie wyobrazić sobie cywilizację i oświatę, opartą na gruncie niekatolickim; a Polakiem, bo czyż może serce i umysł polski nie widzieć tych spustoszeń moralnych, ekonomicznych i cywilizacyjnych, jakie nam wyrządzili żydzi. To też uważamy, że organa żydowskie, podsuwając takie kłamliwe wyrazy ks. Biskupowi Łobosowi, nie przyczyniły się wcale do zrehabilitowania żydów, a tylko mogą niepotrzebne wywołać rozdrażnienie. A tego zarówno w specjalnym interesie żydów, jak i w ogólnym interesie kraju, unikać zawsze należy.

Samobójstwo czternastoletniej panny. W Kownie wielkie wrażenie zrobił niezwykły fakt samobójstwa, jaki się wydarzył w tych dniach w Mal. dobrach p. A.

Czternastoletnia jedynaczka pp. A. przybyła niedawno do rodziców na wieś z Krakowa, gdzie się kształciła w jednym z internatów miejscowych.

Było to dziecko bardzo rozpieszczone. Rodzice ją ubóstwiali i pozwalali na wszystko, nawet na większe bale brali ją ze sobą, o ile naturalnie dziewczynka bawiła wówczas na Żmudzi. Ubiegłej zimy podlotek spotkał się na jednym z takich wieczorków z studentem medycyny warszawskiego uniwersytetu, p. K. Młodzian musiał się bardzo podobać czternastoletniej panience, gdyż powróciwszy z balu, o nim tylko mówiła i marzyła. „On" tymczasem nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, traktując ją jak dziecko, a wkrótce wyjechał z Kowna całkiem, dostawszy posadę.

Po jego wyjeździe panna zmieniła się do niepoznania, posmutniała i zmizerniała, unikała towarzystwa. Rodzice niepokoili się wielce tym stanem swojej jedynaczki, pocieszali się jednak, że „miłość" ta prędko przeminie.

Tak rzeczy stały do d. 17 bm.

W dniu tym pp. A. mieli się udać po południu do swych znajomych. Pomimo namawiania i próźb rodziców, córka chciała pozostać w domu. Dopiero, gdy powóz zaszedł przed ganek, panna wybiegła ze swego pokoju dziwnie rozgorączkowana i z pewną determinacją oświadczyła, że jedzie z rodzicami, lecz konno. Rodzice ucieszyli się, tembardziej, że ulubioną tak dawniej konną jazdę, córka ich od paru tygodni całkiem zarzuciła.

O wiorst kilka od domu dziewczynka skierowała nagle konia do lasu i popędziła galopem. Rodzice, znając jej amatorstwo do szybkiej konnej jazdy, nie dziwili się temu wcale. Naraz, po upływie chwil kilku, daje się słyszeć wystrzał. W tej samej prawie chwili wypadł na drogę w galopie wystraszony koń panny A., bez właścicielki.

Przerażeni rodzice, przeczuwając jakąś katastrofę, udali się do lasu z drżeniem serca... O kilkaset kroków od drogi leżało nieruchome dziewczę. Rodzice z krzykiem rozpaczy rzucili się do córki. Żyła jeszcze, oddychając bardzo ciężko. W pobliżu leżał rewolwer pana A. Odwieziono ją do domu i posłano po lekarzy. Zanim jednak pomoc lekarska przybyła, czternastoletnia samobójczyni żyć przestała.

Spalona na stosie. Nader sensacyjny i tajemniczy wypadek zdarzył się w Porębie Radlnej pod Tarnowem. U tamtejszego gospodarza Frysztaka służyła niejaka Marjanna Kozik, kobieta cnotliwa i pobożna, ale bynajmniej nie fanatyczka. W zeszłą niedzielę widziano ją jeszcze w kościele, ale tegoż dnia po południu znikła. Na drugi dzień doniesiono gospodarzowi, że w jego lesie w nocy się paliło. Poszedłszy na miejsce, znalazł on na krańcu lasu spalenisko, a na niem zwęglonego trupa. Gdy zwołano ludzi ze wsi i zajęto się rozpoznaniem ciała, poznano po chustce i nieco jeszcze po twarzy znikłą na dzień przedtem Marjannę Kozik, którą też niebawem pochowano. Gdy zawiadomiono sąd o wypadku, zjechała tegoż dnia po południu komisja z sędzią śledczym p. Smoleckim, który nakazał ekshumację zwłok i zarządził sekcję. Ta nie wykazała nic. Śledztwo sądowe ma obecnie rozstrzygnąć trudne do rozwiązania zagadnienie, czy w danym wypadku zachodziło samobójstwo, czy morderstwo.

W sprawie rodziny baronów Sholmanów otrzymujemy następujące pismo:

„Artykuł, zamieszczony w Nr. 167 *Przeglądu* zniewala mnie do odezwania się w interesie prawdy.

Notatka p. Karlińskiego, aczkolwiek zakrawająca na bajkę z „Tysiąca i jednej nocy" jest przecież prawdziwą a nieodgadniętą pozostanie dla nas tylko intencja, w jakiej on właśnie stare naszego domu odgrzebywał tradycje.

Odzyskanie owego majątku jest nader problematyczne i choć od lat z góry trzydziestu czynione były w tej mierze kroki nie łudzimy się co do tego bynajmniej. Wziąłem sobie za zadanie szczególniej dwie rzeczy wyjaśnić, a raczej sprostować — a to, że rodzina Sholmanów nie jest ani tak rozgałęzioną, ani podupadłą.

Baron Eryk de Malmö Sholman, który jako banita przybył z Szwecji, nabył dobra w okolicy Krakowa, zostawił jedynego syna Mikołaja, dziadka mojego i ten przesiedlił się nad Wisłokę w okolicę Baranowa. Mikołaj miał dzieci sześcioro, synów Stanisława, Wiktora, Karola i Ignacego i dwie córki.

Ignacy zginął w powstaniu, trzej jego synowie przebywają w Królestwie i znaczny posiadają majątek, Stanisław i Karol posiadający dobra w lubelskim żyją i używają w najlepsze baronowskiego tytułu, chociaż im tego źle poinformowany p. Karliński odmówił synom zmarłego, Wiktora, tym właśnie, którego p. Karliński na jeneralnego spadkobiercę splerdorów naznaczył jestem ja, rodzeństwo moje, to brat młodszy Wiktor, przyrodnia siostra Aniela i zmarła siostra rodzona śp. Marja, która właśnie przed laty dziesięciu zaślubiła p. Etgensa de Etgensborg.

Z córek Mikołaja jedna wyszła za Ostrowskiego, druga za Pańkowskiego, pierwsza zmarła bezpotomnie, druga zostawiła czterech synów i dwie córki, z tych żyje do dziś dnia Kaźmierz Pańkowski i Jadwiga z Pańkowskich Szelayowa. Jak się z tej krótkiej genealogji pokazuje ród Sholmanów bynajmniej nie jest tak rozgałęziony, owszem członków jego na palcach policzyć by można, tym zaś, którzy się za takowych podają, stanowczą dać muszę odprawę, nazwisko to dosyć wygląda pospolicie i nie jeden Niemiec cieszy się niem niezawodnie, nie idzie jednak zatem, by już z tego tytułu do naszej rodziny należał.

Nie łudzimy się, jak już powiedziałem, byśmy w najbliższej przyszłości owe miliardy odziedziczyć mieli, zastrzec się jednak jak najusilniej musimy przeciw wszelkim bezprawnym inwazjom, ze strony tych, którzy przypadkowo podobnie brzmiąca noszą nazwisko.

Prosimy zresztą ową panią, by zechciała znieść się z nami i odowodnić, że pochodzi z rodu baronów Sholmanów.

W Bochni, dnia 24 lipca 1889.

Baron Jan Stefan de Malmö Sholman.

Z Nowego miasta otrzymujemy następujące pismo:

Opis wizyty kanonicznej odbytej przez Jaśnie Najprzewielebniejszego Arcypasterza, biskupa przemyskiego Łukasza Ostcja Soleckiego w Błożwi dnia 25 czerwca 1889 w 31 roku po ostatniej wizytacji biskupiej.

Dnia 24 czerwca 1889 przybył arcypasterz przed wieczorem przy odgłosie dzwonów, wystrzałów z moździerzy i otoczony banderją błozewską przed bramą tryumfalną, gdzie już oczekiwał go proboszcz miejscowy i pan starosta Staromiejski Zdzisław Geppert jako na krańcu swego powiatu z obywatelami parafji jakoto; p. Józefem Mściwujewskim z Koniowa i p. Henrykiem Wojakowskim z Towarni i z procesją ludu. Po przywitaniu arcypasterza przez pana starostę, proboszcz miejscowy podawszy mu pacifikał do pocałowania zaintonowawszy pieśń nabożną; „do Ciebie Panie" wprowadził go do kościółka błozewskiego, cokolwiek odrestaurowanego zewnątrz i wewnątrz.

Jak wszędzie tak i tu rozpoczął ksiądz biskup nabożeństwo przedmową do zgromadzonego ludu. Słowa arcypasterskie od serca pochodzące, a wygłoszone wyraźnie i z prawdziwie apostolskiem namaszczeniem trafiały do serc wszystkich słuchaczy i da Pan Bóg najlepsze przyniosą owoce. Po tej przemowie odprawił arcypastrz żałobne nabożeństwo w trzech stacjach za dusze zmarłych. Po tem oglądał tabernakulum, baptisterium i ubogi kościółek błozewski. Po skończonem nabożeństwie odprowadzono go w procesji na plebanię, gdzie po skromnym posiłku udał się na spoczynek.

Dnia 25 czerwca 1889 o godzinie 7 z rana odprawił mszę św. Po mszy św. zwiedził ks. biskup zakrystję opatrzoną w dość liczne aparata liturgiczne, które kościółkowi błozewskiemu ofiarowano skutkiem rozesłanej odezwy. Dary te, które ks. biskup szczegółowo oglądał są: lampion na wieczną lampę z chińskiego srebra, trybularz z łódką z chińskiego srebra, 4 alby, 2 komże, 7 palek, 4 koloratki na stuły, 7 humerałów, 30 puryfikaterzy, 5 obrusów, 8 korporałów, 7 ręczników, 3 sukienki na poduszkę, 2 welony, jeden jedwabny i jeden biały tiulowy, bursado chorych, 7 ornatów, 2 fioletowe, 2 czerwone, 1 czarny, 2 białe, 2 umbrakula, jedno z nich wartości 50 zł. bardzo piękne, 2 poduszki, 1 stuła, 9 ręczników, dywan przed wielki ołtarz i 1 kapa biała. Przepatrując to wszystko sam Jaśnie arcypasterz podziwiał niektóre jak np. bursę do chorych i umbrakulum i sam ofiarował 50 zł. na dalsze upiększenie kościółka błozowskiego. Potem odbyło się śniadanie na plebanji, po śniadaniu zaś katechizacja z dziećmi, przy której dzieci odpowiadały pięknie i trafnie, a w nagrodę za to otrzymały obrazki i medaliki. Po katechizacji udzielał arcypasterz Sakramentu bierzmowania, do którego przystąpiło 186 osób. Po bierzmowaniu odbyła się suma z wystawieniem Przenajśw. Sakramentu w monstrancji, po sumie zaś proboszcz miejscowy wypowiedział piękne kazanie. Po kazaniu sam arcypasterz oprowadził procesję koło kościoła, podczas której zaintonował „Te Deum" i pobłogosławił lud na 4 strony Przenajśw. Sakramentem, po procesji zaś udzielił obecnym odpustu zupełnego, jeszcze raz pomodlił się za umarłych i w procesji wrócił na plebanię, skąd po skromnym obiedzie i

---

HOMUNCULUS.

(Modernes Epos in zehn Gesängen von Robert Hamerling. Hamburg und Leipzig. Verlag von J. F. Richter).

(Ciąg dalszy.)

Jednakże po swej matce, a raczej żywicielce (trudno o wyraz odpowiedni w tym wypadku) odziedziczył Homunculus wielkie zamiłowanie do poezji. Pani Munkel — tak się nazywała ta zacna niewiasta — pochłonęła, znajdując się w stanie poważnym, niezliczoną ilość rymów i młody Munkel, doszedłszy do lat młodzieńczych, poczuł w sobie iskrę Bożą.

Zrobiwszy odkrycie, że na wiosnę kwiatki pachną, ptaszki śpiewają, a powietrze mile wonieje, iż rzeczą przyjemną jest patrzeć w oczy młodego, pięknego dziewczęcia, zapragnął świat zapoznać z tem odkryciem w wiązanej mowie. Wszelakoż wiersze jego, gdy się pojawiły, nie zrobiły wrażenia. Okazało się, że to, co mienił niesłychanem odkryciem, było od czasu Anakreonta... publiczną tajemnicą!

Niezrażony tym szwankiem, odkrył znowu, że na świecie nierównym jest dział dostatków. Są bogaci i nędzarze: pierwsi żyją w obfitości i zbytku, drudzy zaś cierpią brak, nędzę, głód nawet, co wcale nie jest rozkoszą. Odkrył dalej, że nędza prowadzi młode dziewczęta z ludu na drogę występku; że więzy małżeńskie ciążą tym, którzy nie kochają; że nędza i bogactwo są demoralizującym czynnikiem i wiele innych tym podobnych rzeczy.

Odkrycia te ubrał w wiersze — wulkaniczne, cyklopejskie, niesłychane, pewny, iż olbrzymie zrobi wrażenie i w jednym dniu stanie się sławnym człowiekiem. Ale świat ziewał tak samo nad jego socjologicznemi wierszami, jak niegdyś ziewał nad jego rymami, opiewającemi wiosnę i miłość, bo i to, co dziś przynosił, było publiczną tajemnicą!

Gdy jeszcze trzecia poetyczna próba — olbrzymia, niebotyczna epopeja nie znalazła spodziewanego uznania, a wydawca odmówił mu ręki swej córki, dał Homunculus za wygraną poezji i przyjął służbę u młodego a lekkomyślnego niemieckiego magnata. Podróżując z nim po świecie, zajechał do kąpielowego miasta, gdzie była uprzywilejowana szulernia. Tu, na widok złota, obudziła się w nim *sacra auri fames*; zrobiło mu się w oczach żółto, w całem ciele uczuł nerwowe drgawki. To był głos natury — twórca jego bowiem włożył był w retortę zbyt wiele złotego pierwiastku, a że złoto ciągnie za złotem więc też będzie w Homunculusie siła ta działać determinująco. On sam stanie się dla złota rodzajem magnesu.

Począł grać, zrazu skromnie, potem ze wzrastającą namiętnością. Szczęściło mu się ciągle, rozbił bank i sam już bogaty puścił się w świat, dobrawszy sobie między miejscowemi wietrznicami towarzyszkę podróży. W lesie Bakony, na Węgrzech, opadli go zbójcy, których herszt rycerski chciał mu pozostawić pieniądze, a zabrać tylko — kobietę.

Ale piękna nie zgodziła się na to: chciała tam pozostać, gdzie złoto. I tak tedy, z bólem serca musiał go rycerski zbój ograbić ze wszystkiego martwego i żywego inwentarza—ze wszystkich skarbów: z grosza i kochanki.

Ogołocony, rzucił się Munkel w wir świata, szukając karjery.

Był kolejno agitatorem, trybunem ludu, szpiegiem policyjnym, socjalistą, kuglarzem, korespondentem dziennikarskim, spirytystą, sekretarzem podróżującej primadonny, kolporterem, baszą tureckim, clownem, misjonarzem, głodomorem a la Tanner, szambelanem zdetronizowanych książąt, hypnotycznem *medium* i t. d. — pomijamy większą połowę.

Wreszcie dobił do bezpieczniejszego portu: założył dziennik, oparty na reklamie, a rozdawany abonentom bezpłatnie, pod warunkiem, by czytali... inseraty. Redakcja nie kosztowała nic, a przynosiła olbrzymie zyski. Artykuły wstępne pisywali polityczni agitatorzy, ekonomiczne bankierowie lub przedsiębiorcy, krytykę prowadzili wydawcy lub nieprzyjaciele autora, pragnący go pognębić, recenzje teatralne redagował dyrektor teatru.

Każdy mógł tam drukować, co chciał, byle tylko zapłacił odpowiednio za umieszczenie, bo wynagrodzenie obliczano nie od wiersza, lecz wedle wagi słów. Każdy epitet pochwalny lub naganny miał swoję cenę.

Homunculus sam pozostawił sobie jeden tylko referat — p r z e m i l c z e n i e; referat ten opłacał się najlepiej.

Interesa szły świetnie i dziennik wielką się cieszył powagą. Znaczenie jego rosło coraz bardziej i coraz większy zysk przynosiło przedsiębiorstwo. Ale Munkel zapragnął szerszej jeszcze widowni i obszerniejszego pola do działania. Sprzedał dziennik akcyjnemu towarzystwu i rzucił się na giełdowe spekulacje.

Powiodło mu się znakomicie. Zakładał akcyjne przedsiębiorstwa, z których olbrzymie czerpał zyski. Miał nożyce do odcinania kuponów, poruszane siłą pary, bo rąk brakło do takiej roboty. Otoczył się zbytkiem niebywałym; pałac jego był wzorem przepychu i komfortu. Mechanika i elektrologja zużytkowane tam były na wielką skalę i służyły mu jako posłuszne niewolnice.

Bajeczny Feniks kołysał się tam w złotej klatce; w stajni jego stał pegaz z podciętemi skrzydłami, którego niekiedy zaprzęgać kazał do kabrjoletu, wyjeżdżając na spacer. Paziem jego pierwszej faworyty był Sylf pojmany, a djabeł we własnej osobie stawał za jego karetą w charakterze murzyna.

Znaczenie jego rosło coraz bardziej. Świat cały leżał u jego stóp. W dniu, w którym do jego kasy wniesiono ostatni miljon, uzupełniający sumę biljona, składali mu powinszowania wszyscy monarchowie. Nawet cesarz chiński przesłał mu telegram, wynurzający radośne uczucia syna słońca i brata księżyca.

Ale Homunculus nie czuł się szczęśliwym. Czegoś mu nie dostawało, czuł jakąś dziwną czczość, jakieś wewnętrzne niezadowolnienie, jakąś nieokreśloną tęsknotę. Nic tego cierpienia nie mogło ukoić; najsławniejsi lekarze nie umieli mu nań poradzić. Wreszcie jawi się w jego pałacu czarnoksiężnik — ten sam, który go stworzył w retorcie — i objawia mu tajemnicy jego natury.

— Trzeba, żebyś kochał! — powiada mistrz.

Ale Homunculus nie może korzystać z tej rady. Miłość jest okruchem nieba, rzuconym przez Stwórcę w duszę człowieka, rajskim promieniem, osłaniającym ziemskie życie, a Munkiel jest człowiekiem stworzonym w chemicznej retorcie i złożonym wyłącznie z materjalnych pierwiastków. Nie dla niego więc ono ukojenie, które się w sercu tylko pleni!

Niespodziewane bankructwo giełdowe pozbawia Homunculusa wszelkiego mienia. Znużony i znękany rzuca się w fale Renu, aby kres położyć marnemu swemu życiu. Tonącego wydobywa z kąpieli przecudna kobieta — fantastyczna Loreley, syrena tej rzeki, dziwotwór podobny do naszych Goplan i Świtezianek.

I ona także przebywała rozmaite koleje. Nie jest to już dawna rusałka, która śpiewając i czesząc swe płowe kędziory przy blasku księżyca, naprowadzała łódki romantycznych rybaków na zgubne topiele. Interes rusałki-zwodnicy przestał się był opłacać, od czasu jak po uregulowanym Renie pływają parostatki. Żaden romantyczny rybak nie wkraczał do jej dziedzictwa; przybywali tylko Anglicy z czerwonemi „Bädeckerami", a tych nie można było brać w sposób tak naiwny — „na kawał".

Loreley porzuciła ojczystą rzekę i wyruszyła w świat szukać karjery. Była kolejno primadonną w operze, tancerką kankana, amazonką w cyrku, emancypantką, polityczną agitatorką, nihilistką; wreszcie zdobyła dyplom na uniwersytecie i została... doktoresą. Ale to wszystko nie dało jej ukojenia.

Loreley nie znalazła szczęścia w miłości, której wciąż szukała, nie mogąc znaleźć nigdy. Zmieniała kochanków, lecz to nie jej wina, jeno marności i znikomości, która rządzi światem. Nie masz nic stałego, na czemby kobieta, pragnąca miłości, mogła oprzeć swe uczucie. Bankier, którego próbowała kochać, zbankrutował; generał został pobity; minister dostał dymisję; agronoma zniszczyły pożar i wybory; poetę wygwizdano. Słowem, zapadł się zawsze i wszędzie grunt pod jej nogami, gdzie tylko szukała oparcia. Zrażona, chce teraz próbować... cnoty i pobożności.

Podczas, gdy się Loreley tak spowiada, odczuwa Homunculus one drgawki, które raz już odczuł w szulerni, a które zwiastują mu bliskość złota. W istocie znajduje się skarb w sąsiedztwie — legendowy skarb Nibelungów; posiąść go jednak może tylko człowiek niezrodzony przez ojca: takim jest warunek zaklęcia.

(C. d. n.)

wypoczynku udał się na dalsze zwiedzanie kościołów w swej dyecezji.

W Kroacji miejscowości St. Peter powstały zaburzenia z pobudek religijnych. Niedawno rozeszła się w St. Peter pogłoska, że kobieta niejaka Katarzyna Damjan w pobliskim lasku Glozje spotkała małą dziewczynkę, która opowiadała, że widziała Matkę Boską. Wkrótce potem głoszono, że sama Katarzyna Damjan miała objawienie. Do St. Peter zaczęły ściągać tłumy, ażeby oglądać cudowne miejsce w lasku Glozje. Ponieważ zaś teraz właśnie jest pora pielgrzymek do miejsca odpustowego Maria-Bistrica, przeto nadchodzili pielgrzymi nietylko z całej Kroacji ale i z Węgier i Styrji do owego lasku, gdzie na miejscu rzekomego objawienia zbudowano szałas z gałęzi. W tym szałasie zrobiono w ziemi jamkę i kto chce Matkę Boską widzieć, musi przyklęknąć pocałować ziemię i zajrzeć do jamy. Atoli tylko bogobojni i sprawiedliwi mogą mieć objawienie, złym i grzesznikom Matka Boska nie okazuje się wcale. Kto więc nie chce w oczach ludzi uchodzić za bezbożnika i grzesznego, zaklina się na wszystkie świętości, że miał objawienie. Kilku mieszkańców miast, którzy zgodnie z prawdą zeznali, że nic nie widzieli spotkały srogie nieprzyjemności; jednego szynkarza z pobliskiego miasta Kreutz zbito kijami na śmierć, jednemu golarzowi z Belowaru złamano nogę i głowę skaleczono, itp. Delegat sądowy, adjunkt Ożegowicz wysłany na miejsce, chcąc fanatycznym scenom położyć koniec próbował zburzyć szałas, ale tłum rzucił się na komisję sądową, a żandarmerja chcąc uniknąć rozlewu krwi, cofać się musiała. Od czasu tego starcia z komisją, stoi w lasku liczny tłum wieśniaków uzbrojony w widły i kosy i cepy na straży szałasu.

Między tym tłumem krąży opinja, że mieszkańcy miasta Kreutz są bezbożnymi ludźmi, dlatego miasto spalić należy. Magistrat wezwał mieszkańców plakatami, ażeby nie opuszczali miasta, gdyż od rozjuszonego tłumu niczego dobrego spodziewać się nie można. Władza polityczna zawezwała batalion wojska z Belowaru. Tłumy pielgrzymów wzrastają, w ciągu przeszłego tygodnia były dnie, że było na miejscu po 10.000 ludzi.

Donoszący o tem do *Agramer Ztg.* dodaje, że tłum jest tu ofiarą niegodnych spekulantów, którzy wyzyskują naiwną wiarę ludu, zbierając obfite składki rzekomo na budowę kościoła itd. Już teraz pokazało się, że jeden z „pobożnych" pątników, zbierających składki zniknął gdzieś bez śladu.

Z Warszawy piszą do *Czasu*:

„Niedawnemi czasy, gdy biskup żmudzki Pallulon objeżdżał swoją dyecezję, na jednej stacji kolei, niedaleko Kowna, tłum ludu odprowadzał swojego pasterza. W chwili, gdy po trzeciem dzwonieniu pociąg miał ruszać, kamerdyner biskupa, który się opóźnił z ekspedycją rzeczy, wskoczył do wagonu; widząc to żandarm, stosownie do przepisu, powstrzymał wskakującego i … kamerdyner, szamocąc się ze żandarmem, uderzył go w twarz. Wywiązała się bójka, w której zgromadzony na dworcu lud wziął udział; w tej bójce … śmierć żandarma. Władza policyjna miejscowa, nie wiedząc co począć, zatelegrafowała do naczelnika kraju w Wilnie, jenerała Kochanowa, wstrzymując jednocześnie pociąg w którym jechał biskup. Jenerał Kochanow odtelegrafował, że osobnym pociągiem wysyła urzędnika do szczególnych poruczeń, aby na miejscu zrobił śledztwo. Jakoż w kilka godzin po wypadku urzędnik przybył; w chwili jednak, gdy urzędnik wysłany przez p. Kochanowa wysiadał z wagonu, padł on na miejscu, rażony apopleksją, czy ugodzony słonecznym, gdyż tego dnia panował szalony upał. Bezpośrednie następstwo jednego wypadku po drugim zrobiło ogromne wrażenie na ludzie i podnieciło umysły. Jenerał Kochanow zaniechał przysłania innego urzędnika i polecił władzom miejscowym przeprowadzenie śledztwa. Kamerdynera i winnych uderzenia żandarma zaaresztowano. Dalszy przebieg śledztwa jeszcze niewiadomy. W dziennikach urzędowych nie ma dotąd o tem wszystkiem wzmianki.

„Przed paru tygodniami zarząd kolei nadwiślańskiej otrzymał z ministerjum rozkaz sporządzenia spisu wszystkich urzędników katolików oraz Rosjan, ożenionych z katoliczkami, a zatrudnionych na linji, przechodzącej przez gubernie lubelską i siedlecką, to jest od Piławy do Kowla. Spis ten ma być sporządzony w celu stanowczego usunięcia tej kategorji urzędników, którzy na kolejach rządowych służą, … jako taki liczony jest do rosyjskiego Zabuża.

„Hr. Józef Krasiński, syn Adama, ciężko w tych dniach zachorował w Nadziejowicach, w majątku swoim, położonym pod Warszawą. Według ostatnich wiadomości, ma on się nieco lepiej".

Przeciw bicyklom. Berliński lekarz i laryngolog, dr. Haber, w jednym z numerów dwutygodnika *Sanitas*, zamieścił artykuł w duchu... antibicyklowym.

Autor utrzymuje, iż amatorska jazda na bicyklu jest dla zdrowia korzystną, jednak ćwiczenia sportowe … płuca jeźdźców.

Zdaniem dr. H., szczególniej lekkomyślnem jest pędzenie pod wiatr, wtedy bowiem prąd powietrza dostaje się przez wpół otwarte usta do płuc, wywołuje zapalenia, a ewentualnie... suchoty.

Dr. Haber kończy swój elaborat cytowaniem... nazwisk cyklistów, zmarłych z powodu tej nieuleczalnej choroby.

Oszustwo asekuracyjne. W tych dniach, w skutek denuncjacji wykryto w Pińsku wielkie oszustwo. Rzecz miała się, jak następuje:

Przed 8 laty zmarł w Wilnie niejaki Chaskel Perelmann ubezpieczony w Towarzystwie „Rosja" na 20.000 rubli. Sumę tę Perelmanowa otrzymała i wkrótce Wilno opuściła. W styczniu r. b. zbankrutował w Pińsku wielki kupiec zbożowy, Aron Hertzberg, w skutek czego znaczne straty ponieśli okoliczni ziemianie i Żydzi, a pomiędzy tymi ostatnimi niejaki Fischbein. Tenże przez zemstę doniósł prokuratorowi, że ów Herzberg jest właściwie „zmarłym" rzekomo w Wilnie Perelmannem i że bankructwo jest również podstępem. W dalszem śledztwie wykryto, że Perelman zawarł był z rodziną Hertzberga umowę, na mocy której zwłoki tegoż przewieziono do Wilna i pochowano jako zwłoki Perelmana. Wszystko to uczyniono dla otrzymania z Tow. „Rosja" 20.000 rubli. … Perelman … jako Hertzberg, handlował zbożem w Pińsku. Do wykrycia oszustwa przyczyniła się rodzina prawdziwego a zmarłego Herzberga, zawdzięczając Fischbeinowi tajemnicę Perelmana.

Potęga pieśni. Towarzystwo śpiewackie Brüllaria" w niemieckiem miasteczku N. zebrało się przed niedawnym czasem, … „Alleluja" Handla. Był zimny wieczór wiosenny i potężny ogień rozpalono w piecu, niestety nowy piec … gdyż od czasu do czasu … zamiast … na to. Dyrygent w złotych okularach i z pałeczką w ręku stał obok fortepianu, „głosy" rozdano — i na dany znak … — „Al — le-lu-ja! allelululululu — … — rozległo się: Alle-lu-ja! — woła … Więcej forsy w drugim tenorze!... Alleluja, luja, luja! — Drugi bas spadł o pół tonu za nisko!... luja, luja, luja!... Piec dymi obrzydliwie, proszę otworzyć okno... luja, luja, luja! i... i t. d.

Tymczasem na ulicy na dole zebrał się tłum ludzi spoglądający w okna trzeciego piętra, z których wydobywały się kłęby dymu i gromkie okrzyki śpiewackiego chóru. — Tam się pali, wołano w tłumie, tam są widocznie ludzie, którzy wydostać się nie mogą, słyszycie jak wołają o pomoc. Biegajcie po straż ogniową, a żywo!...

Na górze ciągle śpiewano i ciągle dym sadził z okien, na dole łamano ręce z rozpaczy. Na miłość boską, czy ta straż dzisiaj nie przybędzie, oni się tam uduszą. Nareszcie! oto i straż. Prędko dawajcie drabiny i wody!...

...Alleluja, luja, luja! — nieznośny dym, można się udusić, luja, luja, brzdęk, brzdęk, szyby wylatują, w oknach jawią się dwaj strażacy, trzymający mosiężne wyloty rur od sikawek, wołają z góry na dół: wody! i w tej chwili dwa potężne strumienie zalewają śpiewaków. Z początku strumienie, potem istny potop, tworzy się jezioro — całe morze. Dyrygent gubi złote okulary, drugiemu tenorowi woda wpada za kołnierz, a drugiemu basiście który już od piętnastu lat wody na oczy nie widział dostał się cały jej strumień do ust w chwili, gdy je na ostatniej zgłosce Alleluja! potężnie otworzył. Małego pierwszego tenorka chwyta pompier w silne ramiona i znosi na dół... a reszta śpiewaków, przemokłych jak szczury chcąc się ratować wyskakuje wraz z dyrygentem na fortepian. W tej pozycji zastaje ich tłum ludu, który tymczasem wdarł się na trzecie piętro do miejsca zagrożonego katastrofą. I oto wyjaśnia się rzecz cała: Nie ma ani mowy o pożarze — była tylko lekcja śpiewu, chór „Alleluja" i dymiący nowy piec!...

W mieście X. istnieje kasyno, posiadające między innemi czytelnię.

Jakiś złośliwy na drzwiach tej czytelni położył taki napis:

„Przechodniu! idź dalej i niebudź ich".

W szkółce elementarnej.

Rzecz dzieje się podczas egzaminu.

— Dwa razy dwa?

— Ośmnaście...

Egzaminujący sentencjonalnie:

— Uczeń ma zdolności do handlu.

Literatura i Sztuka.

* **Ogłoszenie konkursów.** Na dwa konkursa z fundacji ś. p. księdza Adama Jakubowskiego, ogłasza Akademja Umiejętności na rok 1889 następujące temata:

I. „Charakterystyka jakiejkolwiek znaczniejszej postaci historycznej z dziejów polskich, oparta na zarysie bjograficznym".

Objaśnienie. Wydział historyczno-filozoficzny stawiając powyższe zadanie, kierował się następującemi względami:

Pewną jest rzeczą, że niejeden z historyków naszych ma zgromadzony obfity materjał do bjografji jakiejś znaczniejszej postaci historycznej, która w epoce, stanowiącej przedmiot jego badań, zajmowała wybitne stanowisko. Z tem wszystkiem niełatwo mu jest zdobyć się na wyczerpującą źródłową bjografję, któraby wymagała jeszcze rozlicznych uzupełnień, utrudnionych zwłaszcza potrzebą dalszych poszukiwań w odległych archiwach i bibljotekach.

Ale niejeden autor będzie w tem położeniu, że zebrany już wśród innych badań materjał wystarczy mu do napisania zarysu bjograficznego, który stać się może ważnym przyczynkiem do ocenienia danej postaci historycznej, a nawet do głębszego zrozumienia jej czasów. Wydział historyczno-filozoficzny sądzi zatem, że zachęta dana do prac w tym kierunku wydać może zbawienne owoce, utorować drogę do dalszych badań szczegółowych w danym przedmiocie, a zarazem wydobyć na jaw niejednę rzetelnej wartości zdobycz naukową, która nie tak rychło doczekałaby się monograficznego opracowania. Nie mniej spodziewa się Wydział, że konkurs tego rodzaju przyczynić się może skutecznie do podniesienia kunsztu historycznego w naszem piśmiennictwie, że zatem przedmiot jego liczy się najzupełniej z zamiarami ofiarodawcy, który kładł zawsze szczególny nacisk na obowiązki nauki względem potrzeb społeczeństwa.

W myśl powyższych uwag, nagroda może być przyznaną tylko takiej pracy, która:

1. Zawierać będzie wyniki źródłowego badania stanowiące rzeczywistą zdobycz dla historycznej nauki.

2. Czynić będzie zadość pod względem budowy i stylu wymaganiom kunsztu historycznego.

Termin konkursu naznacza się na dzień 31 grudnia 1890 r.

Pierwsza nagroda 400, druga 200 rubli.

II. Gdy konkurs ogłoszony z tej samej fundacji z zakresu nauk przyrodniczych i ich przystósowania do domowego gospodarstwa, nie przyniósł w ostatnim dwuletnim okresie pożądanego skutku, a nagroda nań wyznaczona pozostała niewypłaconą, przeto ogłasza się go ponownie na ten sam temat:

„Opisać na podstawie najnowszej literatury i własnego doświadczenia, sposoby suszenia owoców i warzyw tak w przemyśle fabrycznym jak i domowym. Autor powinien podać nietylko dokładne opisy i rysunki potrzebnych przyrządów, ale także koszt ich sprawienia lub wyrobienia w domu; powinien wskazać, jakie gatunki owoców i jakie z naszych warzyw do tego się nadają, powinien podać koszta połączone z produkcją i wykazać, w jakich warunkach może się ona wypłacać. W ogóle praca konkursowa powinna świadczyć, że autor nie jest kompilatorem, lecz rzeczą fachowo się zajmował, zna warunki i potrzeby krajowe".

Termin 31 grudnia 1890. Nagroda 600 rubli, w razie potrzeby może być rozdzieloną na dwie, z których pierwsza wyniesie 400 a druga 200 rubli.

W Krakowie dnia 25 czerwca 1889 r.

Uprasza się uprzejmie wszystkie pisma polskie o zamieszczenie niniejszego ogłoszenia.

St. Tarnowski,
sekr. gener. Akad. Um.

Rozmaitości.

— **Ogrody watykańskie.** Ogrody watykańskie ani położeniem, ani wielkością swoją nie mogą równać się z innemi wspaniałemi ogrodami włoskiemi, jak np. z ogrodami willi Borghese przed Porta del Popolo i Villa Doria przed Porta San Pancrazio w Rzymie, charakter ich przewyższa jednak wszystkie.

Do ogrodów watykańskich wchodzi się przez wielką bramę tuż obok wejścia do muzeum pomników, strzeżoną zawsze przez dwu dozorców. Wejść tam wolno tylko członkom dworu papieskiego, tudzież osobom, posiadającym specjalne na to pozwolenie. Wprost bramy wchodzi się na szeroką ulicę, przy której po lewej stronie rozciąga się wspaniały ogród kwiatowy, z prawej zaś — drzewa pomarańczowe, zasłaniające ciągnący się w tyle mur. W owym ogrodzie kwiatowym każdy musi zwrócić uwagę na herby Piusa IX i Leona XIII, utworzone sztucznie za pomocą odpowiedniego poprzycinania gałązek drzewa bukszpanowego. Na wysokich podstawach kamiennych znajdują się tam olbrzymie wazony z drzewkami pomarańczowemi przedniego gatunku, zaś pod dachami ochronnemi wzdłuż murów drzewa cytrynowe. Te ostatnie w noc chłodną muszą być starannie ochraniane od zmarznięcia.

Dywany roślinne i inne zdobycze sztuki ogrodniczej angielskiej i francuskiej znane są we Włoszech tylko z pism i opowiadania, ich więc w ogrodach watykańskich nie szukaj.

Patrząc po nad ten mały, murem otoczony ogród kwiatowy, widzimy nieco dalej w tyle pomiędzy wysokiemi drzewami Casale di Pio Quarto. Oparte tyłem o wzgórek leśny Casale kształtami swemi sprawia wrażenie nader miłe.

Szeroka droga, po której idziemy, pokrytą była przed kilku jeszcze miesiącami wspaniałym barakiem, w którym mieściła się wystawa darów, nadesłanych Ojcu św. z Hiszpanji, Portugalji, Szwajcarji, Anglji, Irlandji, Szkocji i misyj OO. Kapucynów.

W miejscu, gdzie się droga ta rozgałęzia, spostrzegamy za wielką bramą kratową również wielką ptaszarnię, w której znajdują się najrozmaitsze i rzadkie okazy ptaków. Pośród wawrzynów i pomarańcz ptastwo to wiedzie żywot bez trosk. Zna też ono wybornie tego, który w szczególnem umiłowaniu stworzeń skrzydlatych często zbliża się i rzuca im pokarm. Wówczas wszystkie ptaki zlatują się do kraty i jedzą prawie wprost z dłoni Ojca św.

Na lewo wśród krzewów wawrzynowych i bukszpanowych tuż obok lasku prowadzi droga na taras. Tuż pod stopami naszemi widzimy z tarasu olbrzymie cegielnie. Widok to wcale nieinteresujący; zajmuje on jednak każdego, kiedy się dowiaduje, że tam gdzie obecnie znajduje się kotlina, było niegdyś wzgórze i że z ziemi z niego wywiezionej Rzym zbudowano.

Z jednej strony kotlinę tę zamyka Monte Mario i wznoszący się na tym wzgórku kościółek Dominikanów a z prawej Soracto. Na widok jego przypomina się wiersz Horacego: „Vides ut alta stet nive candidum Soracte?" — Jeszcze dalej na prawo widać Kampanję i Góry Sabińskie. — Ileżto wspomnień nasuwa się, gdy patrzymy w tę stronę z tarasu.

Ale po cóż patrzeć tak daleko? Obróćmy się w tył, a zobaczymy stary pomnik papieskiej zapobiegliwości: reszty muru leonińskiego. — Wzgórze watykańskie nie było dawniej częścią obecnego miasta, lecz byłoto przedmieście otaczające bazylikę ś. Piotra a narażone na łupiestwo Saracenów od strony morza przybywających. — Papież Leon IV, pragnąc obronić miasto od owych napadów, wzniósł w tem miejscu mur niezmiernie wysoki i silny. Jako świadek dawnych wieków resztki tego muru sterczą po dziśdzień w ogrodzie watykańskim, ochraniane starannie od rozsypania się. W temto miejscu Leon XIII kazał sobie zbudować mały pawilonik, w którym lubi w lecie często przebywać, pracować, czytać lub odbywać konferencje.

W pawiloniku tym za małym stolikiem stoi skromne, lśniącą czerwoną skórą obite krzesło, zaś pod ścianami takie same ławki. Podłoga wyłożona jest dywanem.

Zdążywszy na sam szczyt pagórka, ujrzymy u swych stóp kopułę kościoła św. Piotra, cały Rzym, a dalej góry Albańskie. Postąpiwszy jeszcze kilka kroków dalej, dojdziemy do małej altanki, skąd odsłania się cudny widok na Rzym w całej tego miasta wspaniałości.

Część ekonomiczna.

— **Żniwa** przypadają w różnych stronach świata o bardzo różnej porze i nie ma ani jednego takiego miesiąca w roku, w którymby nie było gdzieś żniwa. I tak styczeń jest miesiącem zbiorów w Australji, Nowozelandji, znacznej części rzeczp. Chilijskiej i Argentyńskiej. W lutym rozpoczynają się żniwa w Indjach wschodnich i górnym Egipcie, poczem w marcu odbywają się one w ziemiach wysuniętych dalej ku północy od tamtych. W kwietniu zbierają zboże w znacznej części Egiptu, w Syrji, na Cyprze, w Persji, Małej Azji, Indjach, Meksyku i na Kubie. Na maj przypadają żniwa w Algierze, centralnej Azji, środkowych Chinach, Japonji, Marokku, Teksas i Florydzie. W czerwcu i lipcu odbywa się sprzęt w reszcie ziem z wyjątkiem poniżej wymienionych. W sierpniu w Belgji, Holandji, W. Brytanji, północnych dzielnicach dawnej Polski, w terytorjach zatoki Hudsońskiej, w dolnej Kanadzie, Kolumbji; we wrześniu i październiku w Szkocji, w Szwecji, Norwegji, północnej Rosji i niektórych okolicach Ameryki. Północna Australja zbiera plony w listopadzie, a część rzeczp. Bhilijskiej, Birma i południowa Australja w grudniu.

— **W Wiedniu** urządzona będzie w r. 1890 powszechna wystawa rolniczo-leśna. Urządzona ona będzie w rotundzie gmachu wystawy powszechnej w Praterze i budzi już dziś ogólne zajęcie.

Komitet urządzający wystawę rozesłał już jej program i zaproszenia do wszystkich towarzystw gospodarczych Austrji celem obesłania wystawy. Trwać ona będzie od 15 maja do 15 października r. p.

— **Na wiedeński targ zbożowy** nadeszły z dobrych źródeł wiadomości, iż tegoroczny zbiór pszenicy w Zjednoczonych Stanach północnej Ameryki wypadł gorzej, niż tego spodziewano się. W skutek tego cena poszła w górę na targach amerykańskich i angielskich, a w ślad tego cena pszenicy z terminem odstawy na wiosnę r. 1890 doszła na wiedeńskiej targowicy do prawie 10 zł., zaś za gotowy towar płacono chętnie 9 zł. 27 do 9 zł. 36 ct. Żyto na jesień stało onegdaj na 7·47 do 7·52 zł., na wiosnę po 7·95 do 8 zł.

Cena spirytusu obniżyła się na 14·50 — 14·75 zł.

— **Na wtorkowy targ wiedeński** na nierogaciznę przypędzono 3440 sztuk, a to 426 prosiąt i 3014 opasowych.

Przypęd był przeto znacznie mniejszym a z powodu tego ceny podniosły się przeciętnie o 2 ct. na kilogramie.

Płacono towar przedni po 44½—45½ ct. a nawet wyjątkowo po 46 ct., towar średni po 42—44 ct., lekki po 39—41 ct., prosięta po 46 do 50 ct. za kilogram żywej wagi, prócz opłaty akcyzowej.

Wiedeń 23 lipca.

(Z) Paryska giełda trwa uporczywie w złem usposobieniu. Codziennie cofają się na niej kursa włoskich i rosyjskich papierów, a nawet renty francuskiej, ów tak cenny barometr naprężania się i folgowania w napływie kapitałów na targ pieniężny, w ciągu jednego tygodnia spadły o półtora procentu. Kto wie o tem, że taka trzyprocentowa renta jest lokacyjnym papierem oszczędności robionych przez najbiedniejsze klasy społeczeństwa, że w niej umieszcza swój ciężko zapracowany grosz ouvrier, z niepokojem śledzący ruchu kursowego, ten pojmie, że tylko ważne powody wywołują raptowne zmiany kursowe w francuskich rentach, a zazwyczaj te zmiany ograniczają się na różnicy kilkunastu centimów. Powodów tych nie brak, bo dziś stoi Francja w przededniu wyborów, które mają wyrzec ostatnie słowo, czy utrzymać się ma obecny rząd republikański, lub czy przyjdzie inny, nowy — który dziś obiecuje złote góry, aby zdobywszy władzę nic nie dać.

W tej dobie przesilenia stoi Francja ekonomicznie osłabiona, bo jużci nie wzmocniły jej miljardowe straty w panamskiem przedsiębiorstwie, ani nie wzmocnił ów osławiony Kupferring, ani upadek tak potężnej instytucji, jaką był „Comptoir d'Escompte". Straty były ogromne, a tem dotkliwsze, bo zachwiały zaufaniem klas oszczędzających w lokowaniu kapitałów w przedsiębiorstwach akcyjnych, a nawet na rachunek bieżący w instytucjach bankowych, — lecz zwróciły się te drobne kapitaliki ku kasom oszczędności, już i tak przesyconych gotówką. Brak więc tych kapitałów na giełdach francuskich przejawia się ujemnie, i niepokoi te giełdy, co w dalszem następstwie wywiera nacisk zniżkowy na sąsiednie targi środkowej Europy. — I dziś przeto, chociaż z razu objawiała się lepsza tendencja w Berlinie, a za nim u nas, w końcu musiano pójść za słabszemi kursami paryskiemi i zakończono dzisiejsze czynności nieznaczną zniżką, przeważnie w akcjach bankowych i rentach.

Tylko efekta przemysłowe trzymały się nie źle, a akcje kopalni żelaza w ogóle i specjalnie Alpiny podniosły się w górę po otrzymaniu wiadomości o ukończeniu bezrobocia w kuźnicach styryjskich. Akcje kolejowe, wprowadzone na pochyłą drogę baissy od tygodnia, dziś usuwały się dalej ku dołowi.

Ostatecznie notowano:

Kred. austr. 303·75, węgier. 316·50, anglob. 124·—, uniony 224·75, bankvereiny 106·40, länderbanki 231·30, ludwiki 192·25, czerniowiec. 235·—, renta papier. 83·80, srebrna 84·80. austrj. złota 109·70, papier. 99·75, węg. złota 99·80, papierowa 95·—.

Ruble 1·22⅛ zł.

Telegramy „Przeglądu".

Petersburg 23 lipca (pryw.). Rada stanu została odroczona do jesieni. Rząd postanowił, że ponieważ stan finansów caratu nie dozwala na budowę drugiego toru na kolejach wiodących ku granicy zachodniej, przeto na razie wystarczy pomnożyć park wagonów i lokomotyw.

W. ks. Konstanty Mikołajewicz jest już umierający.

Wiedeń 25 lipca. *Wiener Zeitung* donosi: Radzca ministerjalny w prezydjum ministrów dr. Jaeger mianowany został prezydentem Szlązka.

Fremdenblatt oświadcza, że doniesienie *Graždanina*, jakoby polityka austrjacka usiłowała sprowadzić konflikt między Bułgarją a Serbją i jakoby skutkiem poduszczeń z Wiednia rząd bułgarski wysyłał swe wojska na granicę serbską, jest całkiem nieprawdziwem, i ma tylko na celu wywołanie rozdrażnienia przeciw Austrji.

Kierownictwo polityki austrjackiej usiłuje właśnie objaśnić oba rządy w Belgradzie i Sofji o ich wzajemnych intencjach, ażeby uniknąć ewentualnych nieporozumień, a rządy serbski i bułgarski mogą najlepiej złożyć świadectwo o tej działalności polityki austrjackiej.

Grac 25 lipca. W Seegraben i Muenzenberg wrócili wszyscy górnicy do pracy.

Strejkuje natomiast 1600 robotników w Trifail i żąda podwyższenia płacy o sześć procent.

Zachowanie się strejkujących jest tego rodzaju, że potrzeba będzie wysłać tam wkrótce asystencję wojskową.

Królewiec 25 lipca. Dzienniki tutejsze donoszą, że komenderujący jenerał Bronsart Schellendorf w mowie, wypowiedzianej podczas objadu, rzekł, że objeżdżając prowincję dowiedział się o panujących obawach wojennych. Zapewnić może jednakże, że obawy te są wcale nie uzasadnione, a wypowiadając te słowa, wypowiada także życzenie, ażeby słowa te jego podano do wiadomości publicznej celem uspokojenia umysłów.

Bergen 25 lipca. Cesarz niemiecki przybył tu wczoraj po południu.

Schweidnitz 25 lipca. Sąd przysięgłych skazał z powodu ekscesów w Waldenburgu obwinionego herszta robotników Henkla za wywołanie rozruchów na siedmioletnie więzienie w domu poprawy i na siedmioletnią utratę praw obywatelskich. Dziewięciu innych obżałowanych skazano na półtora roku do 5 lat więzienia w domu poprawy, dwudziestu dwóch na rok do 4 lat więzienia. Jednego uwolniono.

Paryż 25 lipca. Okólnik kardynała Lavigerie uwiadamia o odroczeniu kongresu, który miał obradować w Lucernie nad sprawą zniesienia niewolnictwa.

Zapowiedziany kongres musiano odroczyć, bo wiele znakomitych osób z Francji doniosło, iż z powodu równoczesnego terminu wyborów nie mogłoby wziąć udziału w obradach kongresu.

Berlin 25 lipca. *Norddeutsche Allg. Zeitung* omawiając projekt zaprowadzenia pociągu kurjerskiego między Berlinem a Rzymem podnosi, że liczne stosunki handlowe i kulturne łączące Niemcy z Włochami wymagają, aby zbliżyć ku sobie obie stolice tych państw. Wielu podróżnych udających się na południe powita z radością skrócenie czasu jazdy.

Wreszcie podnosi *Norddeutscherka*, że linja przez Monachjum i górę Brenner, jako najkrótsza, byłaby najwłaściwszą ku zaprowadzeniu na niej pociągów błyskawicznych z Berlina do Rzymu.

Londyn 25 lipca. *Times* ogłasza oświadczenie Salisbury'ego, w którem on zaprzecza, jakoby w ostatniej swej mowie wyrazić się miał, że Kreta w końcu musi odłączyć się od Turcji.

Paryż 25 lipca. 30 sług urzędu cłowego i publicznych instytutów dobroczynnych zostało oddalonych za udział w agitacji bulanżystowskiej.

W proklamacji do wyborców w Belleville oświadczył Rochefort, że przyjmuje kandydaturę do ciała prawodawczego.

Andrieux oświadczył, że wypłacać będzie pensje wszystkim funkcjonarjuszom państwa w okręgu Forcalquier, pozbawionym urzędu za ich przekonania polityczne, aż do czasu, w którym nastąpi ponowne wprowadzenie ich w służbę i to z awansem.

Belgrad 25 lipca. Dzienniki serbskie nazywają wiadomość, że Ristic dostał ataku apoplektycznego, jednym z tych tendencyjnych wymysłów, które rozpowszechniane były w ostatnich czasach w sprawach dotyczących Serbji.

Ristic cierpi na reumatyzm, stan jego jednak polepszył się znacznie jeszcze przed odjazdem do kąpiel.

Madryt 25 lipca. Reprezentacje wielu gmin Hiszpanji wystosowały adresy do Papieża ofiarując mu gościnny przytułek na wypadek opuszczenia przezeń Rzymu.

Nadesłane.

Przyjechali do Lwowa

dnia 25 lipca 1889.

Hotel Żorża: A. hr. Łoś z Wiednia. J. A. książę Cantecuzeno z Bukaresztu. H. Czarnowski z Kijowa. D. Pogłogowski z Sudkowic. E. Olszewski i A. Misiągiewicz z Wołynia. W. Niezabitowski z Łanek. F. Strohmer z Wiednia. A. Bisset z Peczeniżyna.

Hotel Europejski: P. hr. Scipio z Krakowca. L. Dimitz i B. Schenirer z Wiednia. A. Fedorowiczowa z Ropy. S. Mech z Królestwa polskiego.

Hotel Angielski: W. hr. Olizar z Olszanicy. A. Hohl z Wiednia. M. Friedler z Styrji. E. Maryański z Jarmuliniec. Z. Słonecki z Krakowa. T. Meleszkiewicz z Okna. S. Załęski z Panowiec.

Hotel Langa: Dr. N. Seinfeld z Wiednia. W. Boberski z Tarnopola. H. Bettelheim z Wiednia. L. Heller z Welleschitz. M. Loew z Wiednia. E. Romankiewicz z Taszczówki. A. Weiss z Fiume. M. Schramek z Wiednia. A. Klappenbach z Berna.

Lwów. Z Izby handlowej 25 lipca 1889.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	191 —	194 —
" lwow.-czer-jass. 200 zł. w. a.	234 —	237 —
Banku hip. galic. 200 zł. w. a.	277 —	281 —
" kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	216 —

2. Listy zastawne za 100 złr.

	płacą	żądają
Banku hyp. galic. 5 prc. w. a.	100 —	101 —
6% Listy zastaw. Galic. Zakładu kredytowego ziemskiego 36 let.	— —	— —
Banku hyg. galic 5 prc 10% pr.	103 —	104 —
Banku krajowego 4½% w. a.	97 75	98 75
Tow. kred galic 5 " " "	100 80	101 80
" " " 4 " " "	96 —	97 —
" " " 5 " " "	100 80	101 80
" " " 4 " " "	93 80	94 80
" " " 4½% " "	98 70	99 70
" " " 4% " "	92 80	93 80

3. Listy dłużne za 100 złr.

	płacą	żądają
G. Z. kr. wł. (d) 6%) 3% w likw.	57 50	59 —
" " " " (d) 5%) 2½% "	48 —	50 —

4. Obligi za 100 złr.

	płacą	żądają
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104 10	105 10
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I. em.	100 50	101 50
Pożyczka kraj z r. 1873 6 prc w. a.	104 —	106 —
" " " 1883 4½% "	96 50	97 50

5. Losy.

	płacą	żądają
Losy miasta Krakowa	24 —	26 —
" " Stanisławowa	— —	38 —

6. Monety.

	płacą	żądają
Dukat holenderski	5.58	5.68
Dukat cesarski	5.62	5.72
Napoleondor	9.45	9.55 —
Półimperjał rosyjski	9.70	9·80
Rubel rosyjski srebrny	1·36	1·48
" " papierowy	1·20¾ —	1·22¾
100 marek niemieckich	58·25	59·25

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 25 lipca. godz. 1. min. 40.

Akcje kredyt	304·15	Węg. kolej półn. wschodn.	186·75
Alpiny	72·25	Wiedeńskie losy kom.	144·—
Kredyty węg.	317·—	Akcje tyton.	108·75
Anglobanki	124·—	Gal. obl. indem.	104·75
Uniony	225·25	Elbethale	214·—
Ludwiki	192·50	Länderbanki	231·30
Nordbany	251·75	Renta zł. węg	99.75
Lombardy	120·—	Bankvereiny	106·25
Losy tureckie	50·25	Renta węg. pap.	94·95
Staatsbahny	222·25	Ruble	1.22·25
Czerniowieckie	234·75		

Usposobienie silne.

Pociągi kolejowe.

podług zegaru lwowskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z KRAKOWA:	o godz. 8 m. 50 rano	poc. osob.
	" 4 " 8 po poł.	" kurj.
	" 7 " 15 wieczór	" mięs.
	" 9 " 28 "	" osob.
Z PODWOŁOCZYSK (na dworzec główny lwowski):	o godz. 3 m. 15 w nocy	poc. mięs.
	" 2 " 20 po poł.	" kurj.
	" 7 " — wieczór	" mięs.
Z PODWOŁOCZYSK: (na dworzec Podzamcze):	o godz. 2 m. 38 w nocy	poc. mięs.
	" 2 " 8 po poł.	" kurj.
	" 6 " 22 wieczór	" mięs.
ZE STRYJA	o godz. 12 m. 08 w nocy	poc. osob.
	" 8 " 26 rano	" "
	" 3 " 36 po poł.	" "
Z CZERNIOWIEC:	o godz. 6 m. 40 rano	poc. mięs.
	" 8 " — wieczór	" posp.
	" 11 " 6 "	" mięs.
Z BEŁZCA:	o godz. 6 m. 58 po poł.	poc. mięs.

Odchodzą ze Lwowa:

DO KRAKOWA:	o godz. 4 m. 20 rano	poc. osob.
	" 7 " 20 rano	" "
	" 2 " 28 po poł.	" kurj.
	" 8 " 30 wieczór	" osob.
Do ZIMNEJ WODY-RUDNO:	o godz. 4 m. 20 po pop.	poc. osob.
DO PODWOŁOCZYSK (z głównego dworca):	o godz. 9 m. 52 pr. poł.	poc. mięs.
	" 4 " 11 po poł.	" kurj.
	" 10 " 35 wieczór	" mięs.
DO PODWOŁOCZYSK (z dworca Podzamcze:)	o godz. 10 m. 28 przed poł.	" mięs.
	" 4 " 22 po poł.	" kurj.
	" 10 " 5 w nocy	" mięs.
DO CZERNIOWIEC:	" 9 " 20 przedpoł.	" posp.
	" 9 " 50 przed poł.	" mięs.
	" 10 " 8 wieczór	" mięs.
DO BEŁZCA:	" 7 " 49 rano	" mięs.
DO STRYJA:	" 5 " 50 rano	" osob.
	" 10 " 20 przed poł.	" "
	" 6 " 45 wieczór	"

132)

OFIARA FATALIZMU.

POWIEŚĆ

Ksawerego de Montépin.

(Ciąg dalszy).

Często też zbytnia troskliwość rodzi miłość, która bez tego nie wyszłaby na jaw i zamarłaby nieświadoma siebie.

Dianna przeto była skazaną na pozostawienie tego wszystkiego przypadkowi i na liczenie wyłącznie na jakąś szczęśliwą godzinę zaufania, w której niewinne zwierzenia rodzą się same z siebie na ustach dziewiczych, gdzie te młode serca rozchylają się bezwiednie pod wzrokiem macierzyńskim i pozwalają zajrzeć w przeczyste swe głębie.

Tylko że znów godziny takie bywają bardzo rzadkie.

Tego samego dnia, w chwili kiedy Marceli i Raul mijali się z Gontranem na drodze, Dianna i Blanka przechadzały się zwolna po jednej z najcienistszych alei parku.

Obie siostry postępowały obok siebie w milczeniu.

Chwilami Blanka odbiegała ze zręcznością dziecka, którem niemal była jeszcze, schylała się aby zrywać przydrożne polne kwiatki co barwiły trawnik po obu stronach alei.

— Ach, droga siostro — rzekła, zbliżając cały snop zerwanego kwiecia do pięknej twarzy Dianny — jakażto wielka szkoda, że te prześliczne kwiateczki nie mają żadnego zapachu! Takie są ładne!... Czemu teżto Pan Bóg nie obdarzył ich wszystkiem!

— Bo Pan Bóg wszystkiemi przymioty obdarza tylko błogosławionych swych wybrańców,.. takich jak ty, kochana moja Blanko — odpowiedziała Dianna.

— Pochlebnico! — zawołała dziewczyna, zarzucając swe ramiona na szyję pani Herbert i ściskając ją serdecznie; — gdyby to kto posłyszał, myślałby naprawdę że jestem uosobioną doskonałością.

— I ja cię za taką uważam. Jesteś zarówno dobra jak ładna... Czegoż więc brak ci jeszcze, kochana Blanko... zastanawiam się i doprawdy nic nie znajduję.

— To już nie twoja doprawdy zasługa, jeżeli nie popełniam przynajmniej ze dwadzieścia razy na dzień szkaradnego grzechu pychy, — odpowiedziała śmiejąc się dziewczyna,

I Blanka uściskała znów serdecznie siostrę.

Po tych pieszczotach i wylewach uczucia, młoda dziewczyna stała się znów milczącą i jakby w głębi duszy czemś zajętą.

Jej ręka w roztargnieniu rozruciła wszystkie niemal zebrane kwiatki na piasek alei.

Z całego bukietu wreszcie pozostał w jej dłoni tylko bukiecik stokrótek.

Poczęła oskubywać go zwolna, zgodnie z klasycznym obyczajem zakochanych wszystkich czasów i widać było jak się poruszały jej usta, z których żaden dźwięk nie wychodził, a które przecież zadawały widocznie te usankcjonowane pytania:

„Czy kocha?...
„Cokolwiek?...
„Bardzo?...
„Nad życie?... i t. d."

Dianna niespokojnie śledziła każden spadający na ziemię listek i ruch warg Blanki.

— Gdyby nie kochała, — mówiła sobie, — na cóż potrzebowałaby zapytywać stokrótki?...

Ale uspakajała się tem, że po wsze czasy, niedorostki nawet pytały polnej wyroczni, tak samo jak nie pojmując nic zgoła, usta ich powtarzały zasłyszane miłosne piosenki.

Może więc i dla Blanki ta stokrótka była tylko zabawką..

A przecież wzrok Dianny nie mógł oderwać się ani od kwiatka odartego już zupełnie niemal z listków ani purpurowych ustek Blanki.

Ostatni listek padł wreszcie na ziemię. Stokrótka na ostatnie pytanie odpowiedziała: Nad życie!...

Jak zazdrosny kochanek, który chciałby do głębi przeniknąć duszę swej ukochanej, którą podejrzywa o niewierność bodaj w myślach choćby, tak Dianna śledziła wyraz fizjognomji młodego dziewczęcia.

Upojenie uśmiechu, który na mgnienie oka rozchylił jej usta, ukazując dwa rzędy olśniewających ząbków, czarowny błysk jej spojrzenia, rozświeconego tryumfującym jakimś wyrazem, były dla biednej Dianny groźną rewelacją.

— Niestety! — powiedziała sobie z goryczą,— niestety!... niestety!... to nie była bynajmniej zabawka!...

Blanka nie poczuła wcale ciężaru inkwizytorskiego spojrzenia, które zaciężyło na niej.

Odpięła od staniczka drugą stokrótkę i poczęła znowu tak samo obrywać jej listeczki.

Dianna cierpiała tak straszliwie, że zapomniała zupełnie o ostrożności, którą postawiła sobie za prawidło i w chwili kiedy Blanka szeptała pytanie: „Czy kocha?..." przerwała jej i dotknąwszy jej ramienia spytała jej głosem drżącym ze wzruszenia:

— Więc tak zależy ci na tem, aby się tego dowiedzieć?...

Blanka jak ten, którego nagle zbudzą z sennego marzenia, nie zrozumiała zrazu pytania, które jej zadano.

Popatrzała na Diannę wzrokiem głębokiego zadziwienia.

— Więc tak zależy ci na tem, aby się tego dowiedzieć? — powtórzyła pani Herbert. — Wszakże wyrocznia raz już odpowiedziała ci za niego?...

— Co chcesz powiedzieć? — szepnęła młoda dziewczyna.

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor: **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. Manieckiego. — Zarządzca Walenty Hodek.